Świat powieściowy.

Nr. 157 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Dokończenie.)

— Nie! nie! ty nie znasz Jerzego! Cokolwiek czynił, jakikolwiek błąd mógł popełnić, był przekonany o czystości swoich celów i zamiarów. Jeżeliby istotnie wieś padła ofiarą jego uporu i zawziętości, będzie to dla Jerzego ciosem śmiertelnym!

— Zdaje mi się, iż posądzasz go o więcej serca i uczuć wzniosłych, niż on ich posiadał kiedykolwiek. Zresztą... mniejsza o to! Mnie potępił tak surowo, bez cienia miłosierdzia, niech-że teraz będzie sędzią dla samego siebie.

— Czy Jerzy wiedział o rozkazie wydanym przez twojego ojca?

— Nie!... przynajmniej nikt mu tego szczegółowo nie wyjawił, nadto jednak biegłym był w przenikaniu skrytości serc ludzkich, aby nie odgadnąć i nie powiązać z sobą logicznie wypadków. Przypominasz sobie ów dzień złowrogi, w którym wystąpił z oskarzeniem przed tobą? Milczałem wtedy nawet w obec pytania wypowiedzianego twojemi ustami blademi i głosem drżącym od trwogi śmiertelnej. Nie mogłem zaprzeczyć apodyktycznie słowom wroga, nie chciałem uznać się winnym przed sędzią z góry uprzedzonym i nieubłaganym. Prośba moja o rozmowę z tobą sam na sam została bezwzględnie odrzuconą. Tego samego dnia nad wieczorem, zjawił się Wilmut u mnie w zamku, z tłumaczeniem, iż jako opiekun dbały o przyszłość pupilki, inaczej nie mógł postąpić, i z propozycją, abym przez spowiedź uwolnił sumienie od przygniatającego je ciężaru, a on jako kapłan rozgrzeszy mnie w Boga imieniu.

— A tyś spowiedzi odmówił?

— Odmówiłem! Nie mogłem korzyć się w prochu przed człowiekiem, który wydzierał mi i niszczył szczęście całe, nie mogłem oskarzać przed wrogiem ciężkim ojca mojego i poddawać się bezwarunkowo jego parcjalnemu wyrokowi. Na sam jego widok burza wściekła mną miotała, a w sercu pełno było wstrętu i nienawiści dla jego osoby. Odpowiedziałem, iż tylko Bóg jeden będzie mnie sądził i temu Sędziemu Najwyższemu oddaję się na łaskę i niełaskę. Zmierzył mnie od stóp aż do głowy owym wzrokiem lodowatym, który znasz aż nadto dobrze, i wycedził zwolna:

— W takim razie panie baronie, sługa boży niema tu więcej nic do czynienia... chyba, gdybyś się inaczej namyślił. Zważ pan, iż wskazałem mu drogę jedyną do pojednania się z Bogiem i ludźmi, ty zaś sam sobie wszelkie wyjście zamykasz, potwierdzając niejako milczeniem zawziętem to, czegom się dotąd li domyślał. Zaczekam, aż pan baron zgłosi się do mnie z tem dobrowolnie, na co dziś przystać nie chce.

— Czekał dotąd napróżno i za to wykluczył mnie zupełnie ze społeczeństwa wiernych, uznając za człowieka praw wszelkich pozbawionego.

Anna nic nie odpowiedziała. Wiedziała najlepiej, z jaką gwałtownością napadł Wilmut na nią, odkrywszy stosunek łączący ją z obecnym panem na Werdenfelsie, a który zmuszeni byli taić czas jakiś, ze względu na ojca.

Dzwonienie na gwałt nie ustawało. Głos, który zwykł błogosławieństwo kościoła zapowiadać, wzywał teraz wszystkich na ratunek w chwili niebezpieczeństwa straszliwego, a pomoc nieprzybywała! Głuchy jęk dzwonów odbijał się echem ponurem od góry zamkowej, dochodził do uszu ordynata niby ostatnie słowo błagalne konającego, ten zaś patrząc w dal nieruchomy, nie chciał widocznie głosu tego usłyszeć.

Nagle łoskot straszliwy zahuczał w powietrzu, tak głośny i przerażający, iż na chwilę nawet ryk burzy i szum fal zagłuszył. Zdawało się, jakby wsi połowa w otchłań zapadła.

— Przez miłosierdzie boże! — Anna ręce rozpaczliwie załamała — woda most zerwała niezawodnie. Już wczoraj drżał cały w posadach!

Rajmund szybko zadzwonił.

— Wysłać natychmiast na górę zamkową! — rozkazał wchodzącemu kamerdynerowi. — Chcę wiedzieć, co się z mostem stało!

— Chodźmy na wieżę — Anna błagała po oddaleniu się służącego. — Z tamtąd zobaczymy bieg rzeki i wieś całą.

Rajmund potrząsł głową.

— Nie! nie! Nie chcę patrzeć na zniszczenie, któremu nie mogę zapobiedz!

— Powiedz raczej, iż nie chcesz nic widzieć, aby nie być zmuszonym przyjść w pomoc nieszczęśliwym!

— W pomoc tym ludziom?! Nie Anno, tego przecież nie możesz po mnie wymagać! Czy ty wiesz, czem oni byli dla mnie?! Dzieciom nawet swoim, drobnym, niewinnym istotkom, wcześnie w serce wszczepiali nienawiść i wstręt do mojej osoby, i dzieci uciekały odemnie, odtrącały rękę moją, skoro się do nich zbliżyć chciałem! Gdym po raz ostatni spotkał się z łotrami, a cios śmiertelny, zadany ręką zbrodniczą, powalił na ziemię mojego biednego *Emira*, powiedziałem sobie, iż wszystko między nami skończone! Dziś zresztą pokutują za swój własny upór i zaślepienie. Dla czegoż odepchnęli szaleńcy pomoc, którą im ofiarowałam? Niechże się teraz spełni wyrok przez nich samych wywołany!

Zakamieniałość nieubłaganą można było łatwo wyrozumieć i przebaczyć człowiekowi, doprowadzonemu do ostateczności nieludzkiem prześladowaniem, a jednak w tych słowach nie odzywała się zimna surowość i obojętność, był w nich raczej niepokój i walka wewnętrzna, którą toczył z własnem sercem i przekonaniem. Zdradzał również rozstrój z samym sobą, krok szybki, nerwowy, którym salon przemierzał, chcąc zagłuszyć myśli chaotycznie mózg rozpierające.

Wrócił kamerdyner z twarzą białą jak płótno, z wzrokiem błędnym i przerażonym.

— Mostu już niema jaśnie panie, a i młyn cały wraz z domem mieszkalnym woda porwała! Widać doskonale z wieży narożnej!

— A mieszkańcy? — Anna spytała głosem drżącym.

— Młynarz z całą rodziną do dnia schronił się do wsi i tam jednak niebezpieczeństwo rośnie z każdą godziną. Stracono wszelką nadzieję ratunku, widząc iż wszelkie usiłowania nadaremne!

Ordynat nie rzekł ani słowa, tylko coraz prędzej chodził wzdłuż sali jadalnej.

Kamerdyner spojrzał, jakby błagając o miłosierdzie, w stronę pani Hertenstein, i znowu zaczął mówić nieśmiało i wahająco:

— Chciałem spytać o dalsze jaśnie pana rozkazy, jeżeli... jeżeliby... przyszło do ostateczności. Wszystko co żyje ze wsi ucieka, wlokąc za sobą co tylko na prędce dało się zabrać z ich nędznego dobytku. Góra zamkowa jest dla nich obecnie jedynym punktem oparcia.. kobiety jednak nie mogą dać sobie rady z dziećmi drobnemi, wśród deszczu, który leje i leje jak z cebra...

— Otworzyć im stajnie, wozownie, nawet sutereny w pałacu — rzekł Rajmund z widocznem przezwyciężeniem. — Powozy na gumno pod szopy pozaciągać, konie zamknąć tymczasem w stodole. Czego ludzkość wymaga, nigdy nie odmawiam!

Wyszedł kamerdyner, a w sali zapanowało głuche milczenie. Rajmund unikał wzroku Anny, gdyż czuł instynktowo, co wyczyta w tych oczach tak pięknych, tak wyrazistych, mimo, iż z ust jej ani jedno słowo prośby więcej nie wyszło.

Dzwony zamilkły i deszcz zdawał się cokolwiek nadstawać; nic nie było słychać w około, tylko szum fal złowrogi, które okryte pianą, piętrzyły się coraz wyżej i wyżej. Może istotnie mieszkańcy zrozpaczeni dali już za wygranę, myśląc jedynie o ratowaniu życia, skoro wieś całą Bóg widocznie skazał na zagładę.

Po chwili drzwi się otworzyły i wsunął się chłopak kredensowy, jak mysz obmokły, z biletem w ręku, który podał ordynatowi.

— Od pana barona — szepnął głucho.

Ołówkiem skreślił Paweł na prędce tych słów kilka:

„Most, młyn i domostwo młynarza woda już porwała; najdalej za godzinę wieś powódź dosięgnie. Wskazałem nieszczęśliwym górę zamkową, bo tam jedynie mogą się schronić przed niszczącym żywiołem. Znam twoje serce i wiem, że im przytułku nie odmówisz. Unoszą li życie ze sobą... Wieś stracona bez ratunku!"

Przebiegł pismo oczami i podał w milczeniu młodej kobiecie. Anna blada śmiertelnie wyciągnęła ku niemu ramiona, wołając tonem błagalnym:

— Werdenfelsowi grozi zagłada! Rajmundzie! Rajmundzie!

Spotkały się ich źrenice na jedno przelotne mgnienie oka... Ordynat przesunął ręką po czole, chcąc widocznie ztamtąd myśl jakąś spędzić, wyprostował się nagle, jakby powziął niezłomne postanowienie i krzyknął gromko:

— Płaszcz mój i czapkę! Tylko prędzej! Idę do wsi!

— Dzięki Najwyższemu! Wiedziałam że tak będzie! — Anna uśmiechnęła się radośnie.

Objął ją ramieniem i do piersi przycisnął namiętnie. Głos jego był jednak głuchy i stłumiony.

— Czego się spodziewasz najdroższa? Mogęż ja jeden stawić zaporę nieprzełamaną rozszalałemu żywiołowi?

— Tego nie wiem na pewno... — młoda kobieta przytuliła się do niego pieszczotliwie — przeczucie mi jednak szepce, iż będziesz mógł, skoro zechcesz! W każdym razie idę z tobą!

— W taki czas okropny?! Zostań się Anno, błagam cię!

— Nie! Tyś zrozumiał nareszcie, gdzieś być powinien, ja zaś wiem, iż odtąd miejsce moje przy twoim boku. Za nic w świecie w zamku się nie zostanę!

— Chodź więc! — Rajmund podał jej ramię. — Nie będzie powiedziano, żeśmy wsi całej dali zginąć bez ratunku i pomocy!

Werdenfels, jak wiemy, było w dolinie położone i stanowiło pierwszą osadę u gór stoku, o którą zapierały się teraz fale ryczące i spienione, grożąc zupełną zagładą. W górach zaporą niepokonaną stanęły skały niebotyczne, że jednak i tu żywioł niszczący sił swoich próbował, świadczyły skał potężne odłamy i drzewa z korzeniem powyrywane, które woda z sobą unosiła, to w nurty szare zagłębiając, to podrzucając w górę gwałtownie niby piłkę ledziutką. Można było z łatwością przewidzieć, jak prędko powódź upora się z nędznemi, jak bądź skleconemi chłopskiemi lepiankami.

Most warowny, murowany, na słupach granitowych, cementem i żelazem spajanych, opierał się dotąd wszelkim wody zachciankom i nie dawał się ruszyć z posad. Teraz on pierwszy padł ofiarą groźnej powodzi. Dwa jeszcze tylko najwyższe słupy środkowe sterczały po nad falami, z resztką belek do nich przytwierdzonych, któremi woda niby trzciną pomiatała, całe zaś mostu wiązanie otchłań straszliwa pochłonęła.

Gościniec murowany, zbudowany z takim kosztem przez ordynata, a prowadzący z Felseneck do Werdenfels, woda w kilku miejscach poprzerywała; las nie wielki u gór stoku, do gromady w Werdenfels należący, prawie ze szczętem powódz zniszczyła, igrając z niemi i łamiąc sosny niebotyczne niby chróst cieńki! Po tych wałach napiętrzonych z pni, kamieni i namułu, pędziły dalej i dalej fale rozhukane, z łoskotem ogłuszającym.

Młynówka, zwykle wązką, srebrną wstęgą wijąca się wśród łąk szmaragdowych, cicho i spokojnie jak poważna matrona, teraz szalała również niby Bachantka rozpasana i niosła w dani rzece głównej, młyn i dom przez nią zrujnowany.

Najstraszniejszy atoli widok przedstawiała rzeka sama, tworząc żółto szare bałwany, niby cielsko smoka obrzydłego, który ma wkrótce połknąć całą osadę.

Jakby nieustające salwy z armat, tak grzmiało i huczało nad rzeką, z taką siłą uderzały o brzegi drzewa całe i kamienie ogromne od skał oderwane.

We wsi panował zamęt nie do opisania. Zrazu patrzono na powódź obojętnie, przez tyle lat przecie nigdy szkód wielkich nie sprawiła. Dopiero noc ostatnia przekonała i najbardziej zaślepionych, o nader groźnem a tak bliskiem niebezpieczeństwie. Wtedy rzuciło się wszystko na ratunek. Kto tylko miał ręce zdrowe, od gospodarza najbogatszego do najbiedniejszego wyrobnika, każdy pracował w pocie czoła; nawet kobiety ziemię i faszyny bądź wiozły taczkami, bądź na plecach donosiły. Wszakże wieś cała była równie zagrożoną, każdy miał coś i kogoś do stracenia.

Do południa zdawało się, iż potrafią stawić opór strasznemu żywiołowi, skoro jednak most poszedł z wodą, wszelka praca rąk tylu od północy zajętych, okazała się nadaremną! A każdy z tych ludzi, ocierając co chwila pot kroplisty, jęczał żałośnie:

— Gdybyśmy tak mieli teraz tamy ochronne!

Odepchnęli z pogardą dar tak wspaniały, dla tego tylko, iż pochodził od znienawidzonego pana na Werdenfelsie. Dziś przekonywali się niestety za późno, czem są takie tamy ochronne! Zamek stał wprawdzie tak wysoko, iż i potop świata byłby go nie dosięgnął, park atoli i klomby najpiękniejsze rozściełały się na równym z wsią poziome, i gdyby nie wały i mury, mogła by je woda zniszczyć zupełnie. Fale uderzały wprawdzie z wściekłością i o brzeg drugi, wracały jednak nazad zawstydzone i bezsilne, wobec zapory granitowej.

Od dziesięciu godzin pracowano tak niezmordowanie. Co było drzew w pobliżu, padło pod ostrzem siekiery; znoszono kamienie, sypano ziemię, żeby choć w miejscach najgroźniejszych stawić opór chwilowy, fale atoli z sykiem i hukiem, jakby na urągowisko biednym pracownikom, zabierały w kilku minutach nad czem oni mozolili się godzinami, i coraz dalej rozpościerały swoje wszechwładne panowanie. Wszyscy już o ratunku zwątpili i gotowi byli ręce opuścić bezczynnie... Jeden tylko nie chciał uwierzyć, że wieś jest zgubioną nieodwołalnie .. ksiądz Wilmut.

Pierwszy znalazł się nad brzegiem, skoro powódź stała się niebezpieczną, i dotąd nie odszedł, przebiegając od jednego miejsca do drugiego, zawsze tam na stanowisku, gdzie fale najgroźniej uderzały. Najsilniejsi luzowali się i odpoczywali, on jeden niestrudzony nie stanął na chwilę, chociaż nie przywykł jak tamci do rydla i siekiery. Użył całej swojej władzy, aby ludzie, którzy zrazu głowy potraciwszy, latali tylko jak opętani wzdłuż brzegów, jęcząc i złorzecząc, odzyskali krew zimną i przytomność. Zorganizował bandę niesforną, skłonił do pracy, podług planu przez niego na prędce podanego. Zachęcał to prośbą, to groźbą, świecił na siłach upadającym własnym przykładem, zdawało się, iż to człowiek ze stali ukuty, a nie zwykły śmiertelnik ciałem obciążony. Słuchano go jeszcze z przyzwyczajenia, ale nie z tą czcią, nie z tym co dawniej zapałem.

Zgasł nimbus, który dotąd w oczach parafian proboszcza głowę opromieniał, zniknęła bezpowrotnie ślepa ufność, którą w nim dotąd pokładali, przestano wierzyć słowom jego. Czyż im nie zaręczał, że Bóg nieszczęścia nie dopuści, że wałów i tam ochronnych nie potrzeba, skoro wieś strzeże ręka Opatrzności... a jednak powódź przyszła i sprawdziły się przepowiednie Wyklętego z Felseneck! Któż będzie sprawcą ich zagłady, ich niedoli bez granic?! Ksiądz! nikt inny!

Odczuwał instynktowo wyrok potępiający, choć dotąd niczyje usta wprost zarzutu przeciw niemu wymówić nie śmiały. Czytał go jednak w groźnych spojrzeniach mężczyzn, rzucanych na niego z pod brwi ściągniętych w głośnych jękach kobiet, które rwąc sobie włosy w bezsilnej rozpaczy, powtarzały bez ustanku:

— Gdybyście się nie byli jak kozły uparli, gdybyście byli przyjęli to co wam Pan ofiarował, i z głodu nie byłybyśmy się przez zimę z dziećmi namarły, i teraz nie byłoby takiego nieszczęścia! Oj! te wasze mądre głowy! ten wasz mądry rozum!

Ksiądz wiedział, kto tu najwięcej zawinił, wiedział, czyja dłoń kierowała prostaczkami, w czyim ręku byli ślepem narzędziem! Brzmiały mu w głowie i w sercu słowa Anny prorocze:

— „Gdzie w mocy ludzkiej postawić zaporę żywiołowi niszczącemu, jest to nadużyciem miłosierdzia Bożego, wyzywaniem kary niebios zasłużonej, gdy wstrzymujemy dłoń z pomocą spieszącą, a tego ty się dopuściłeś!“

Trzymał się dotąd na nogach, niby dąb dumnem czołem opierający się wichrom najgwałtowniejszym,

*

bladość atoli śmiertelna, rysy kurczowo wykrzywione i głos bez dźwięku, którym wydawał rozkazy, zdradzały rozpacz dziką i zwątpienie w duszy rozsiadłe.

„Zasiał wiatr, zbierał burzę!“ — a setki ludzi, których mienie i życie wziął w szalonej zarozumiałości na swoje sumienie, li z nienawiści do jednego... setki te, wyczekiwały teraz z jego ręki i spodziewały się na pewno ratunku, cudu!

Nie śmiał więcej prawić zgubionym o miłosierdziu Bożem, jak to było jego kapłańską powinnością, gdyż stracił sam wiarę w pomoc Bożą, gdyż czuł, iż zbliża się chwila kary straszliwej, wymiaru li Boskiej sprawiedliwości!

W zamęcie w okół panującym, ledwie zauważano pojawienie się młodszego barona, który zresztą nie miał sposobności rozwinąć czynność jakąkolwiek. Rozmówił się tylko krótko z wójtem, a gdy ten spytał nieśmiało i wahająco: „Czy w razie najgorszym, znaleźliby ludzie wraz z bydłem przytułek w zabudowaniach do zamku należących?“ — Paweł przyrzekł mu to solennie w imieniu ordynata, i jak wiemy, w tym sensie wysłał do zamku bilecik. Sam został na brzegu, patrząc z sercem ściśnionem na daremne wysiłki ludzi pracujących, aby uratować wieś na zagładę przeznaczoną.

— Szkoda naszego ciężkiego mozołu! — rzucił wreszcie Rajner pierwszy motykę, opuszczając bezwładnie ramiona. — Wody nie przemożemy! Ot! ratujmy lepiej co się da uratować, póki stoją jeszcze chałupy.

Zawrócił ku wsi, Wilmut atoli zaszedł mu drogę.

— Stójcie! — krzyknął na poły z gniewem, na poły tonem prośby namiętnej. — Nie możemy z placu ustępywać, nie powinniśmy wsi na łup wydawać żywiołowi niszczącemu! Tylko nie traćcie odwagi, a ratunek będzie możliwym! pomoc przyjść musi!

Rajner rozśmiał się gorżko:

— Tu by cudu potrzeba, jak zaś na niego czekać zaczniemy, zginiemy z kretesem! Widzicie, wał, który sypaliśmy przez tyle godzin, już się chwieje, już idzie z wodą!

Słuszną była jego uwaga. Z hukiem niesłychanym, w miejscu gdzie niebezpieczeństwo groziło najwięcej, wał ochronny runął w otchłań, a fale tańcząc i skacząc podrzucały w górę drzewa olbrzymie i całe skał bryły, jak gdyby bawiły się z drobnemi kamyczkami.

Proboszcz porwał z ziemi motykę wieśniaka i pierwszy rękę przyłożył, aby wyłom na nowo załatać.

— Dalej! dalej! zamknijmy drogę wodzie! Gdy raz rzeka tędy bieg zwróci, jesteśmy wszyscy zgubieni!

— Eh! — Rajner machnął drwiąco ręką i mówił z coraz wzrastającem jak te fale oburzeniem i zjadliwem szyderstwem: — Księdzu proboszczowi krzywdy nie będzie! Rząd, albo i ten tam z Felseneck, probostwo odbuduje, boć bez księdza wieś zostać nie może i gdzieś on mieszkać musi, ale nas nikt nie poratuje, nikt nam chat i dobytku straconego nie wróci! Gdybyśmy byli przyjęli, co nam ten z Felseneck ofiarował... ale myśmy proboszczowi zawierzyli i dziś musimy z jego łaski pokutować!

Był to pierwszy zarzut, rzucony głośno w oczy księdzu Wilmutowi, jak atoli dość jednej iskry, aby minę wysadzić, tak tych słów kilka wystarczyło, aby to wszystko płomieniem wybuchnęło, co tlało od dawna w sercach parafian. Jak grad posypały się gorżkie wymówki, złorzeczenia, nawet gdzieniegdzie dzikie groźby się odezwały. Nieszczęście usta wszystkim rozwiązało, zrywając gwałtownie więzy dotąd ich krępujące. Wobec niebezpieczeństwa przejrzeli i najzaślepieńsi, żądając ścisłego rachunku od tego, za którym szli przez lat tyle jak trzoda owiec bezmyślnych, którego słowo każde uważali niemal za ewangelją.

Raz ostatni spróbował ksiądz zatrzymać bandę niesforną, idącą w zupełną rozsypkę. Wystąpił z całą dawną energją, prosił i groził, wszystko jednak nadaremnie, słów jego nikt nie słuchał, nikt się nawet na głos jego nawołujący do pracy, do motyk nie nawrócił. Ogół poszedł za przykładem Rajnera, dążąc ku wsi, aby przynajmniej cośkolwiek z dobytku uratować.

Jerzy został sam. Widział przed oczami straszliwy dopust Boży, słyszał w tłumie oddalającym się groźby i przekleństwa na niego miotane.

U stóp szumiały mu fale, bijąco brzeg i wyrywając po kawałku lądu stałego, nikt już im więcej nie myślał stawiać zapory. Do tego z wszystkich wsi okolicznych, odzywało się głuche i złowrogie na gwałt dzwonienie, jakby nad ciężko konającym, pomnażając grozę tej chwili piekielnej.

I temu wreszcie człowiekowi ze stali, sił zabrakło. Zgnębiony, złamany, upadł na kolana, wyciągając ku niebu ramiona, a z piersi ściśniętej wydobyło się z trudnością głuche łkanie, i te słowa urywane:

— Boże wielki! nie każ tym nieszczęśliwym za moje grzechy pokutować. Weź moje życie, ciśnij moje ciało w otchłań wodną, byleś dał się przebłagać tą ofiarą, byleś uratował od zagłady ludzi niewinnych, wieś całą. Panie nad Pany! pokaż cud łaski Twojej, bądź miłosiernym, zeszlij nam kogoś na pomoc, na ratunek, niech oczy moje nie patrzą na karę Twojej sprawiedliwości!

Deszcz tylko ulewny i szum fal złowrogi, odpowiadał modlitwie zrozpaczonego, a z oddali dochodziły go jęki i płacz niewieści, tudzież głośne mężczyzn złorzeczenia, którzy pędem ku wsi lecieli.

Nagle wszystko ucichło, tłum cały zbity w jedną masę, stanął jak wryty, jak zaczarowany, na zakręcie zaś drogi do wsi wiodącej, ukazał się Rajmund z panią Hertenstein, opartą na jego ramieniu.

Pojawienie się ordynata, w chwili gdy wszyscy oddali się zwątpieniu, gdy zerwały się ostatnie więzy jakiejkolwiek karności i posłuszeństwa, a ludność cała szła w rozsypkę, pojawienie się to najmniej spodziewane, wywołało może właśnie dla tego wrażenie piorunujące. Ujrzeli przed sobą wyklętego z Felseneck, który chciał wieś ratować i osłonić przed możliwą powodzią, a za to nosi dotąd na czole i nosić będzie przez resztę życia, piętno ich wdzięczności, na czole wyryte. Czy

przyszedł oczy nasycić widokiem ich niedoli i chce się z nich naigrawać? Czy to jego zemsta powódź na nich sprowadziła? A może, może, przychodzi aby im dopomódz? Przez chwilę zapanowała w tłumie głucha cisza, nikt prawie nie śmiał odetchnąć.

— Napowrót! —krzyknął Rajmund głosem gromkim i tonem rozkazującym, który już wtedy chłopstwu zaimponował, gdy go we wsi byli poznali. — Czego jak głupia trzoda do wsi pędzicie? Napowrót do rzeki! Ztamtąd grozi niebezpieczeństwo, tam wasze miejsce!

— Brzegi przerwane! — ze wszech stron się odezwano. — Wody przybywa z każdą minutą. Nie długo a wsi już nie będzie!

— Dla tego też trzeba coś wymyśleć. Dajcie pokój bezmyślnej ucieczce i pójdźcie za mną! Jest jeszcze jeden środek ratunku, wskażę go wam.

Ratunek! Wyraz ten wstrząsnął tłumem, niby iskra elektryczna. Czyż pan na Werdenfelsie był istotnie w zmowie z szatanem i miał na zawołanie moce nadprzyrodzone, iż tam pomoc przyrzekał, gdzie już wszystko uważali za stracone? Mniejsza o to! Skoro chce ratować, toć musi mieć sposób potemu.

Nie byłoby się nikomu powiodło zatrzymać tych ludzi, ze strachu zmysły tracących, i przywieść do opamiętania, tym razem jednak zabobon i wiara w czary, występujące tak często przeciw ordynatowi, dopomogły mu do zwycięstwa, i opanowania wzburzonych umysłów. Jemu uwierzono, zaczem poszło i ślepe posłuszeństwo dla jego rozkazów.

Nikt w tyle nie został, gdy ordynat z Anną, idąc przodem, tłum cały ku rzece prowadził.

Paweł złączył się natychmiast ze stryjem, niemniej i rządca Feldberg, którego również nad brzegiem zastali. Doszli do miejsca, gdzie do niedawna, tak wytrwale i gorączkowo setki rąk pracowały. Rajmund stanął nagle, oko w oko z księdzem Wilmutem.

Chwilę przelotną, patrzyli w milczeniu jeden na drugiego. Wyrzut gorżki i surowy, który zawisł niejako na ustach Rajmunda, pozostał niewypowiedzianym, gdy spojrzał w tę twarz bladą śmiertelnie, gdy wyczytał w zagasłych źrenicach zwątpienie i ból ciężki. Dzień ten pomścił go zupełnie, a widząc swojego wroga i sędziego nieprzebłaganego, tak złamanego i w takiej rozpaczy, Rajmund odwrócił się od niego wspaniałomyślnie, bez słowa potępienia. Człowiek szlachetny nie będzie się nigdy pastwił nad pokonanym.

Anna również nie widziała się więcej z kuzynem, od owej chwili, kiedy spieszyła do Rajmunda zranionego. Litością przejęta, chwyciła go za rękę i szepnęła tonem łagodnej perswazji:

— Odwagi Jerzy! Nie trać nadziei. Skoro Rajmund tu jest, i pomoc się znajdzie!

Nie spojrzał nawet na mówiącą. Wzrokiem szklannym, błędnym, gonił fale szumiące, które piętrzyły się coraz wyżej, wyżej, i rzekł głucho, wśród łkań nerwowych:

— Czyż on zdolny cud uczynić?

— Są cuda leżące w ludzkiej mocy, skoro oświeci ich z góry promień łaski i mądrości Bożej — młoda kobieta odpowiedziała z nastrojem uroczystym. — Patrz na tłum cały. Oni Rajmunda słowom święcie uwierzyli.

Wilmut powiódł okiem zamarłem i ponurem, po wieśniakach, którzy hurmem Rajmunda otoczyli. Wzrok wszystkich zawisł na nim, na jego ustach, wszyscy wyczekiwali gorączkowo, w śmiertelnym niepokoju, co powie, jaki rozkaz im wyda. Wygnany, wyklęty, był teraz jedynym punktem oparcia, zbawcą, od którego wszystko zawisło, któremu tłum cały ślepo ufał, a proboszcz tak niegdyś wszechwładny, został na boku, sam jeden, odtrącony, opuszczony, zapomniany. Spotkało go obecnie to, czem tak długo wroga swojego gnębił i prześladował.

Ordynat lata całe w górach samotnie spędzając, znał się doskonale z każdem źródełkiem, wiedział skąd wypływa i dokąd bieży. Co wiosny i co jesieni, zastanawiał się nad mniejszemi lub większemi powodziami, które góry w dolinę zsyłały. Czoło jego coraz głębszemi bruzdami się pokrywało, gdy wzrokiem wytężonym śledził fal przypływ, obliczając matematycznie według długoletniego doświadczenia, iż najdalej do dwóch godzin, wieś znajdzie się pod wodą. Odwrócił się w stronę parku zamkowego, który tak bardzo ukochał, jednem długiem spojrzeniem objął drzew wierzchołki i klomby prześliczne, w nieładzie artystycznym po nad wałami rozsiane i wskazując ręką, krzyknął głosem donośnym:

— Rozrywać mury!

Nikt na razie nie odpowiedział i nikt się z miejsca nie ruszył, aby rozkaz wypełnić. Wieśniacy uszom własnym wierzyć nie śmieli, jeden Wilmut pojął całą doniosłość ofiary, w rysach jego odmalowało się niedowierzanie, a jednocześnie błysnął w oczach zamglonych promień błogiej nadziei, gdy zawołał:

— Panie baronie, czy istotnie chciałbyś?...

— Muszę zwrócić bieg fal w inną stronę. Aby wieś uratować, innego sposobu nie widzę.

— Przez miłosierdzie Boże! Rajmundzie zastanów się co czynisz! — Paweł zauważył. — Nie idzie już o park i ogród cały, ale twoje inne posiadłości, po tamtej stronie rzeki...

— Stracone zupełnie, wiem o tem. Rozrywać mury natychmiast!

Rozkaz był powtórzony jeszcze z większą energją i teraz zaczynali nawet wiesniacy rozumieć olbrzymie ordynata poświęcenie, i oni w niem ujrzeli jedyny ratunek. W okamgnieniu popodnoszono z ziemi narzędzia porzucone i wszyscy hurmem ku murom się rzucili. Wstrzymał ich jednak w zapędzie głos gromki pana na Werdenfelsie.

— Stójcie! Trzeba was najprzód podzielić i uporządkować, abyście jedni drugim nie zawadzali. Rajner! weźmiesz z sobą połowę i zaczniecie wały rozbijać ze środka, w tem miejscu, gdzie stał cedr przez was zniszczony. Reszta pod moją własną komendą, będzie mury rozrywać na zewnątrz. Panie Feldberg, daj znać ogrodnikowi, niech się natychmiast wyprowadza z rodziną i całym dobytkiem. Jego domek jest jedynym budynkiem, który woda mogłaby dosięgnąć. Wyznaczysz mu pan w zamku mieszkanie odpowiednie. Pawle, bądź łaskaw potrudzić się do zamku, po nasze zapasy prochu. Lękam się, iż narzędzia żelazne murom nie podołają, będziemy je musieli prochem wysadzać w powietrze... A teraz, do pracy, nie mamy ani chwili do stracenia.

Nie potrzeba było tej zachęty. Ton, w którym rozkazy wydawał, imponował chłopstwu zwięzłością i jasnością niesłychaną. Niczego nie prześlepił, o niczem nie zapomniał. Byli też ślepo posłuszni. Nawet dziki i zuchwały Rajner, uznał w tej chwili wyższość i władzę człowieka, którego niedawno temu chciał niemal zamordować. Znikał natychmiast ze swoją garstką w bra-

mie do parku wiodącej, a podczas gdy Paweł i Feldberg biegli pędem z rozkazem ordynata ku zamkowi, ten nad brzegiem bandę niesforną organizował i każdemu robotę wyznaczał.

Na zewnątrz niepodobna już było wziąć się do murów, gdyż fale całą siłą o nie uderzały; zaczęła się więc prawdziwie mrówcza praca wzdłuż wałów. Wszystkie narzędzia w ruch puszczono, żelazo dzwoniło i odbijało się od murów, setki rąk próbowały ruszyć je z posad.

Mury jednak zbudowane na to, aby stawić zaporę niewzruszoną rzeki zachciankom i kaprysom, nie były tak łatwemi do zniszczenia. Olbrzymie kwadraty kamienia ciosowego, które od lat dwudziestu zrosły się z ziemią niejako, i oprócz cementu, były ujęte w więzy potężnemi drzew korzeniami, opierały się walecznie wszelkim rąk ludzkich wysiłkom. Każdy kawałek z osobna musiało podważać kilkudziesięciu ludzi, robota szła powoli, bardzo powoli, a wody w oczach przybywało.

XXIV.

Fale piętrząc się coraz wyżej, kładły się niemal pod stopy księdzu Wilmutowi, a on skamieniały, bezprzytomny, stał na dawnem miejscu, jakby mu nogi w ziemię wrosły. Nadeszła dla niego chwila w życiu całem najstraszniejsza. On, człowiek woli niezłomnej, energji nadzwyczajnej, był skazany na zupełną bezczynność, podczas gdy cała jego trzódka walczyła z śmiertelnem niebezpieczeństwem. Rąk jego nie potrzebowano, dość ich tam pracowało, komendę zaś nad tłumem zebranym objął pan na Werdenfelsie, stojący wysoko na murze i wydający rozkazy tonem władcy, przyzwyczajonego do panowania i posłuchu od swoich podwładnych. Głos jego rozlegał się w okół, dźwiękiem potężnym głusząc szum fal i ryk burzy, miał oko na wszystko, a chłopstwo szło za każdem jego skinieniem, spełniało w mig rozkazy z gorliwością niezmordowaną, jakby każde słowo Rajmunda było im wprost z nieba zwiastowane.

Patrzał na to Jerzy z daleka, czytał to i w rysach Anny wymownych, która stała o kilka kroków dalej na usilne prośby narzeczonego, aby nie narażała się na prąd wichru, który na wałach dął niemiłosiernie, z nóg waląc niemal najsilniejszych. Nie poszła z Rajmundem, wzroku jednak nie odrywała od ukochanego. Ona jego tylko widziała wśród tłumu pracującego, swojego Rajmunda, który z taką energją pochwycił ster w dłoń żelazną, aby ratować rozbitków, który występywał jako zbawca, jako dnia tego bohater. Ciemne jej źrenice promieniały dumą i szczęściem. Wszak jej to głos obudził do życia odludka, marzyciela, który dowiódł w chwili najgroźniejszej, iż potrafi być mężem dzielnym, nieustraszonym i prawdziwie po męsku okupi winę popełnioną... czynem.

Wrócili nareszcie Paweł z Feldbergiem, z całym zapasem prochu, który okazał się nieodzownie potrzebnym. Roboty nie były w połowie ukończone, a powódź wzrastała z każdą niemal minutą. Rajmund wszystkiem zarządził, nagląc do pospiechu, następnie cofnął się z ludźmi na odległość przyzwoitą, aby nikt nie był na pociski narażony i na znak ręką skinął.

Zahuczało straszliwie, ziemia w okół zadrżała i znaczny kawał wału ochronnego wyleciał w powietrze. Pękły wreszcie mury skaliste, utonęły w falach, zostawiając po sobie wyłom olbrzymi.

Wieśniacy w oczekiwaniu niemem i pełnem trwogi otoczyli wieńcem ordynata i Anna rzuciła się ku niemu, skoro z wału zeszedł. Oboje patrzyli teraz wzrokiem wytężonym w dolinę po drugiej stronie, obecnie mgłą osłoniętej, a wydanej dobrowolnie na łup powodzi.

— Droga stoi otworem — westchnął Rajmund. — Czas był najwyższy. Słyszysz Anno, tam w górach szum złowrogi?

Fale istotnie z gór napływające spiętrzyły się pod wałem, jak bałwany morza rozhukanego i nie zaniedbały rzucić się na wyłom przed niemi otwarty. Ze świstem i łoskotem piekielnym, wdzierały się coraz dalej i dalej. Kawałki muru, które mina podłożona nie wysadziła, porwały fale w swoje potężne ramiona. W jednej chwili podmyły, podmuliły, i resztki im zawadzające z sobą uniosły. Nic już teraz nie stało na przeszkodzie, aby woda mogła dokonać dzieła zniszczenia.

Najwyższe drzew wierzchołki, zaczęły chwiać się, niby trzcina, którą wiatr porusza. Wkrótce dał się słyszeć trzask i łomot drzew z korzeniami wyrywanych, które padając, wszystko niższe ciężarem swoim przygniatały. W okamgnieniu park i ogrody przecudowne, na które trzy pokolenia się składały, wydając krocie, na tychże założenie i utrzymanie, zamieniły się w wielkie bałwaniące się gwałtownie jezioro, pochłaniające fontanny, posągi marmurowe, kioski i altany, niszczące wszystko bezpowrotnie.

Okalając górę zamkową, woda pędziła olbrzymią kaskadą w dolinę, stanowiącą główną i najżyźniejszą posiadłość panów de Werdenfelsie. Tych pól i winnic, żadne mury nie broniły, bo w tamtą stronę nigdy dotąd rzeka się nie zwracała, przytrzymana tamami i wałami, które park zamkowy otaczały. Wkrótce cała dolina znalazła się pod wodą, a łany z oziminą, łąki i bujne pastwiska, były na lat kilka stracone, póki by nie zdołano uprzątnąć drzew, namułu i kamieni, które fale im w darze niosły... Ofiara musiała być spełnioną w całej swojej doniosłości!

Poświęcenie nie było przynajmniej bezowocne. Wód masa, którą góry zsyłały, przewalała się teraz przez park w stronę przeciwną, tworząc jakby nowe koryto, rzeka zaś główna opadać zaczynała... wieś Werdenfels była uratowaną.

W niepokoju gorączkowym, chwiejąc się między trwogą a nadzieją, tłum wyczekiwał wyniku ostatecznego, teraz jednak, gdy pomoc okazała się tak skuteczną, i mieli pewność, iż wsi nic więcej nie zagraża, oczy wszystkich zwróciły się ku Rajmundowi. I on był blady z wzruszenia wewnętrznego, stał jednak dumny, spokojny, patrząc z krwią zimną na zniszczenie straszliwe, które wywołał dobrowolnie. A gdy zrazu głosy pojedyncze, w końcu chór cały, zwiastował radośnemi okrzykami, iż woda w rzece opada stanowczo, twarz ordynata rozpromieniała, piękne, ciemne źrenice, wiecznie niby mgłą smutku powleczone, szczęściem zajaśniały, i odetchnął całą piersią, jak by mu z serca spadł ciężar, latami go uciskający.

Zdawało się istotnie, iż ofiara przez niego poniesiona, zażegnała w zupełności burzę i wszelaką niedolę. Już podczas pracy około murów, deszcz zaczął ustawać, a teraz wiatr się nagle odwrócił, rozpędzając chmury na wsze strony. Od trzech dni i nocy po raz pierwszy błysnęły gór wierzchołki, pogodę zapowiadając.

Po zbitym tłumie szmer głuchy przeleciał... potrącano się i popychano nawzajem. Chcieli widocznie

podziękować zbawcy swojemu, a nie wiedzieli jak się wziąć do tego w obec człowieka, którego przez lat tyle nienawidzili i jak wroga najgorszego prześladowali. Wójta wreszcie na przód wyforytowano. On nigdy z panem się nie zadzierał, on zresztą był z całej gromady najwymowniejszym.

Zanim jednak wójt usta otworzył, Jerzy Wilmut krokiem powolnym zbliżył się do ordynata, i zdawało się, iż sam mu chce w imieniu całej gromady podziękować.

W tem usłyszano za plecyma jęki bolesne; od wsi zdążał starzec jak mógł najprędzej, bez tchu, z sił opadający. Włosy siwe, deszczem zlepione, spadały mu w długich kosmykach na twarz i oczy, w rysach kurczem wykrzywionych czytało się niemą, czarną rozpacz i zwątpienie. Był to Eckfried, od dni kilku chory obłożnie. Na krzyk i lament sąsiadek, zapowiadających mu, że wieś cała zgubiona bez ratunku, i że muszą czemprędziej uciekać na górę zamkową, zaledwie zdołał zwlec się z łóżka, i o kuli, jęcząc i stękając, podążył za innymi.

Nagle pomiędzy zgromadzonymi na górze zamkowej wieść gruchnęła, iż „ten Felseneck“ stoi nad rzeką i obiecuje wieś uratować. Jak i którędy, o tem nie miał nikt wyobrażenia, słyszano tylko głuche o mur uderzenia narzędzi żelaznych, wreszcie zobaczono część murów wysadzonych w powietrze.

W chwilę później zjawił Feldberg, donosząc, iż mogą wracać do wsi bezpiecznie, ordynat bowiem wyłomem w murach zwrócił prąd wody w stronę przeciwną, i teraz pędzi przez park w dolinę całą siłą, a wieś Werdenfels jest zupełnie wolną od powodzi.

Na to oświadczenie stary Eckfried wydał krzyk serce rozdzierający, i nikomu się z niego nie tłumacząc, nie pozwoliwszy się zatrzymać, bez tchu zleciał z góry w dół nad brzeg rzeki. Za każdym krokiem chwiał się i padał nieledwie, popychała go jednak trwoga śmiertelna dalej i dalej, póki nie złączył się z tłumem nad rzeką zebranym. Tu dopiero siły go opuściły, i runął u stóp proboszcza, wołając głosem stłumionym i urywanym:

— Mój Tony!... Moje dziecię!... Tam! tam!... w Grünsee!... utonie razem z młynarzami!...

Ksiądz drgnął nerwowo, reszta zgromadzonych skamieniała, jakby piorunem rażona.

W trwodze o całą osadę w Werdenfels, nikt ani pomyślał o młynie i domku młynarza, samotnie stojącym pomiędzy Werdenfels a Buchdorf, nad wielkim stawem, od którego przysiołek ten Grünsee nazywano. Chat kilka rybackich pobudowano na wysokich pogórkach, i tym, jak również i wsi Buchdorf, wieńcem tychże pagórków otoczonej, nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Młyn atoli był w dole, woda w stawie przez odwilż i deszcz ulewny musiała i tak podnieść się niepospolicie, jak teraz dostanie taką nadwyżkę zupełnie niespodziewaną, może łatwo przerwać groblę, a nawet zastawki warowne z drzewa zbudowane wynieść gotowa z kretesem.

— Mój chłopak! moje dziecię jedyne! — biadał dalej Eckfried leżąc na ziemi i skupiwszy wszelkie władze umysłowe w tym jednym kierunku. — Zabrał mi go ksiądz proboszcz przemocą, oddał tym tam! a teraz zginie mój skarb najdroższy, pójdzie z wodą marnie! Gdzie moje dziecię?! Oddajcie mi mojego Tony!

Twarz księdza trupia bladość pokryła, przycisnął dłonią czoło, na które wystąpił pot kroplisty, a zimny jak w chwilach konania. Oniemiały, niezdolny z piersi kurczem ściśniętej ani jedno słowo wydobyć, wlepił w starca wzrok błędny. Cóż miał zresztą odpowiedzieć nieszczęsnemu?! Jakim cudem mógł zwrócić mu wnuka najukochańszego, o którego upominał się z tak gorzkim, najsłuszniejszym żalem?!... Miara gniewu i sprawiedliwości Bożej, jeszcze się widocznie nie całkiem dnia tego wypełniła!

— Nie trzeba tak rozpaczać Eckfriedzie! — odezwał się Rajmund, najpierw z tłumu całego odzyskawszy przytomność i krew zimną. — Pomoc jest przecież możliwą... młynarz ma zresztą duże czółno, na którem w razie najgorszym może do chat na pagórku dopłynąć, i wszystkich tym sposobem uratować.

— Gdyby tylko miał czas na coś podobnego — wtrącił Paweł z powątpiewaniem. — Woda spadła tak nagle.. tak niespodziewanie... Najpewniej znajdzie tych ludzi zupełnie nie przygotowanych...

Teraz i ksiądz oprzytomniał, z dawną energją otrząsając się z chwilowego osłupienia i trwogi ubezwładniającej. Przemówił głosem bez dźwięku, ale w tonie niezłomnego przedsięwzięcia:

— Musimy zdobyć sobie pewność pod tym względem! Z góry zamkowej widać całą dolinę, a czółno bądź ku nam skierują, bądź ku pagórkom, które Buchdorf okalają.

— Słusznie! — Rajmund głową skinął. — Wyboru nie było. Jeżeli Werdenfels miało być uratowane, prąd wody musieliśmy ku Grünsee skierować, straszliwą by jednak było ostatecznością, gdyby ludzi kilkoro życiem to miało opłacić! Zostań tutaj Eckfriedzie i nietrać nadziei. Zrobi się, co tylko będzie możliwem.

Puścił się pędem w górę, z księdzem i Pawłem, który się do nich przyłączył. Za nimi większa połowa wieśniaków, tłumnie zgromadzonych, również pospieszyła.

Anna została z Eckfriedem, próbując słów pociechy i otuchy, lecz nadaremnie. Starzec nie dał się zatrzymać, chciał sam widzieć i słyszeć, co się tam w dole dzieje. Wsparty na ramionach ludzi miłosiernych i współczujących jego niedolę, powlókł się i on napowrót na górę, z której przyszedł przed chwilą.

Widok, który się z góry przedstawiał, był co prawda rozpaczliwy. Cała dolina stała obecnie pod wodą, rosnącą z każdą minutą. Prąd rozdzielony nie uderzał już tak gwałtownie, dostarczał jednak dość wodnego żywiołu, aby grozić młynowi zniszczeniem.

Mimo znacznego oddalenia i mgły coraz gęściejszej, która unosiła się nad wodami, można było odróżnić na szarem tle widnokręgu, niepewne kontury młyna i reszty otaczających go budynków. Wszystko w wodzie pływało, która musiała już dostać się do wnętrza drzwiami i oknami. O losie mieszkańców nie można było na razie stanowczo wyrokować, gdyż dotąd na całej wód powierzchni czółna widać nie było.

Wieśniacy i cała służba dworska, zaczęli znowu głośno biadać, tworząc i podając projekta rozmaite. najniepraktyczniejsze w świecie. Paweł zaręczał uroczyście, i starał się o tej prawdzie obie siostry przekonać (bo teraz i Lily z zamku wybiegła, przypatrując się ciekawie wodnym kaskadom) że młynarz z całą rodziną musiał schronić się od dawna w miejsce bezpieczne. Młodziutka narzeczona uwierzyła Pawłowi od razu, Anna jednak wzrok utkwiwszy w młyn z wody wystający, ani jednem słowem nie odpowiadała na wszystkie jego uspakajające deklamacje. Ona czekała wyroku z ust Rajmunda, który wraz z Wilmutem stali najbliżej, na samym szczycie góry.

— Powódź dosięgła ich widocznie nieprzygotowanych — odezwał się wreszcie ordynat, patrząc z natężeniem przez perspektywę, którą mu z zamku przyniesiono. — Nie mieli czasu wsiąść do czółna, i musieli na dach się schronić. Coś mi tam w górze majaczy, nie mogę jednak rozpoznać dokładnie przy zmroku wieczornym i mglistem powietrzu.

Podał szkło proboszczowi. Ci dwaj ludzie, aż do tej chwili wrogi nieprzejednali, dzielili się teraz wrażeniami, i nawzajem sobie uwag udzielali, złączywszy się w chęciach szlachetnych niesienia bliźnim pomocy.

— Są wszyscy na dachu — Wilmut rzekł stanowczo, szkło od ócz odejmując. — Dają znaki rozpaczliwe, aby przybywać na ratunek... tam ot... i czółno płynie, ale oni go już nie mogą dosięgnąć!

Wskazał ręką na ciemny, podłużny przedmiot, kołyszący się na wodzie nieopodal od młyna, a który nawet gołem okiem można było rozróżnić. W rzeczy samej, to coś, wyglądające w pomroku niby gruby kloc drzewa, było czółnem, jedynym środkiem ratunku dla biednych ludzi, bo w całym przysiołku drugiego czółna nie było. Powódź musiała zerwać czółno razem z łańcuchem, zanim się kto w młynie opatrzył, a fale rozhukane uniosły je w przeciwnym kierunku.

— Nic nam innego nie pozostaje — wtrącił Rajner — jak zbudować tratwę jak najprędzej i skoro zadnieje, puścić się im na pomoc. Rąk mamy dosyć, tratwę wnet pozbijamy. Póki się dzień nie zrobi, muszą jakoś na dachu wytrzymać.

— Tak długo młyn stać nie będzie! — ksiądz stanowczo zawyrokował. — Znam te wszystkie budynki. Za kilka godzin woda da sobie radę z drzewem starem i zmorszałem, i jeszcze przed północą spłócze do czysta. Pomoc musi przyjść natychmiast, jeżeli chcemy, żeby nie była bezowocną. Trzeba tam się dostać jakim bądź sposobem!

— Czekajcie! — krzyknął Rajmund, jakby go nagle promień z góry oświecił. — Na stawie był co lata mój bacik, który na zimę pod dach się zwoziło. Strzelam z niego kaczki dzikie i cyranki. Panie Feldberg! chciej się zatrudnić odszukaniem tegoż i każ go ludziom tu przyciągnąć jak najprędzej!

Feldberg rzucił się, aby rozkaz wykonać, Rajner jednak głową potrząsł bardzo znacząco:

— Nie na wiele się przyda, ta łupinka z orzecha! Proszę tylko patrzeć, jak woda rwie i kręci się młynka. Chciałbym tego widzieć, którzyby ośmielił się puścić w dół bacikiem na przepadłe! Pewnie by żywy nie wrócił.

Rajmund nic nie odpowiedział, tylko wzrok jego padł mimowolnie na księdza. W spojrzeniu tem było nieme zapytanie, na które Wilmut dał również niemą odpowiedź; nawzajem zrozumieli się jednak doskonale. Ordynat zwrócił się do Rajnera, i rzekł zimno:

— Ludzie się znajdą... byle czółno było.

Ale i Anna w lot schwyciła krzyżujące się dwa spojrzenia i ona tychże doniosłość zrozumiała. Ruchem nerwowym porwała pod ramię narzeczonego, a na bok go odprowadziwszy, spytała głosem drżącym od trwogi śmiertelnej:

— Co chcesz znowu przedsiębrać?

— Posłuchaj mnie tylko najdroższa!—zaczął, chcąc ją uspokoić, oniemiał jednak, widząc jej bladość i oczy łez pełne, wpatrujące się w niego z czułością niewymowną.

— Co czynisz?! — powtórzyła młoda kobieta, tonem najwyższego przerażenia. —Chcesz-że na nowo rzucać się w fal odmęty, narażać na śmierć niechybną?! Tak-że ci łatwo i moje życie poświęcić?! Czyż nie poniósłeś dla tych ludzi dość wielkiej ofiary? Wszak stoi tłum cały, przez ciebie uratowany, dla czegoż oni nie mają tamtym iść w pomoc?

— Dla tego, że żaden nie odważy się na coś podobnego, chybaby...

— Jerzy! Wiem! wyczytałam to w jego źrenicach. Niechże spieszy sam na ratunek... ma winę do zmazania, i zmazać ją potrafi!

— A na mnie-ż nie ciąży grzech straszliwy? — Rajmund spytał tak cicho, iż ona jedna, raczej przeczuła sercem pytanie, niż uchem je złowiła. — Przypomnij sobie tę chwilę w Felseneck, kiedym przed tobą przeszłość nieszczęsną odsłonił. Ogień podłożono najprzód po Eckfrieda stodołę, i syn jego najukochańszy śmierć znalazł pod walącemi się zgliszczami. Teraz zagrożone życie jego wnuka jedynego, który pozostał z całej rodziny, jedynaka i istoty, do której lgnie serce starca, tyloma ciosami złamanego. Winien mu jestem wrócić to życie! Pozwól mi rozprószyć cień ostatni, którym przeszłość dręczy mnie i nie daje swobodnie odetchnąć. Wiesz przecie, iż wtedy w Wenecji na *Lido* ćwiczyłem się nieraz w sterowaniu statkami, i nie lękałem się fal najburzliwszych.

— Morze było mniej niebezpieczne, od tych wirów szalonych, niosących w łonie skał odłamy i drzewa całe z korzeniami powyrywane! Mamże cię widzieć pogrzebanego w wodnej otchłani?! Zostań Rajmundzie! Nie będziesz przecież tak okrutnym, i wysłuchasz mojej prośby usilnej.

— Jeżelibyś tego na serjo żądała, musiałbym zostać, wiem jednak, iż moja Anna nie wstrzyma mnie nigdy, gdy idzie o czyn wzniosły, o ratowanie życia ludzkiego!

— A jednak żądam tego od ciebie! — młoda kobieta powtórzyła energicznie. — I ja mam teraz prawo do życia twojego, tyś moim, i nie chcę abyś ginął marnie!

Powrót Feldberga z bacikiem przez ludzi ciągnionym, przerwał na chwilę rozmowę narzeczonych. Bacik wprawdzie wyglądał na oko bardzo filigranowo, jako zabawka, dobra do pływania po gładkiej i spokojnej stawu powierzchni, był jednak doskonale zbudowany, na wzór włoskich *Speronare*, a że był nadzwyczaj lekki, mógł łatwo unosić się nad falami, byle nie spotkał się po drodze z jakim klocem drzewa lub kamieniem, którzyby go rozbił na miazgę.

— Daj pokój Rajmundzie temu szalonemu zamiarowi! — zaczął teraz Paweł prosić i perswadować. — Gdzież można puszczać się w czemś podobnem wśród takiej powodzi?! Samochcąc na śmierć się narażasz!

Wieśniacy *unisono* potwierdzili zdanie młodszego barona. Bacikiem puszczać się nie można w żaden sposób! Tratwę zbudują nim zadnieje, tymczasem zaś niech Bóg strzeże powodzią dotkniętych!

W tej chwili Eckfried przebił się przez tłum i zawołał głosem drżącym:

— Skoro nikt nie chce, ja spróbuję! Uratuję ich lub sam zginę! Puszczajcie mnię!

— Czyś stary oszalał?! — wybuchnął Rajner ze zwykłą u niego brutalnością za ramię gwałtownie od-

ciągając. — Zaledwie trzymasz się na nogach... nie mógłbyś wiosła w garści utrzymać, a chcesz czółno prowadzić! Do tego innych sił potrzeba!

W rzeczy samej, Eckfried zatoczył się jak pijany, i byłby upadł, gdyby go litościwe ramiona nie były podtrzymały. Zgasła szybko iskra rozpaczą wywołana w zamarłych starca źrenicach; czując niemoc swoją, załkał głucho, wodząc w około wzrokiem błędnym i o litość błagającym.

Poboszcz pierwszy do czółna przystąpił w milczeniu, ale nader starannie oglądnął je na wszystkie strony, a gdy skończył, zawołał w dawnym tonie rozkazującym, dumnie się prostując:

-- Umie który z was ster prowadzić? Wiosłowanie biorę na siebie.

— Na miły Bóg! księże proboszczu! — Rajner o krok się cofnął przerażony —' nie będziecie przecie chcieli!... nie możemy dopuścić, żeby...

— Tak być musi! — brzmiała księdza odpowiedź krótka i węzłowata. — Za lat młodocianych umiałem się dobrze z wiosłem obchodzić, potrafię i teraz! O ster tylko idzie. Nikt-że z was nie odważy się mnie towarzyszyć?

Cisza głęboka, która w około zaległa, była jedyną odpowiedzią na pytanie. Górale w ogóle umieją obejść się lepiej ze strzelbą i toporem, niż z czółnem i sztuką wiosłowania. Patrzyli na proboszcza z przerażeniem i niemym podziwem, iż chce puszczać się na fale zdradzieckie, które przed chwilą jeszcze groziły wsi całej zagładą, żaden atoli nie miał ochoty pójść za tak chwalebnym przykładem.

— Widzisz Anno, iż niema nikogo — wtrącił Rajmund półgłosem — czy teraz będziesz mnię zatrzymywała?

— Na miły Bóg! nie puść go pani! — zawołał Paweł strwożony. — Wszak niedawno wstał z łóżka... jest zaledwie rekonwalescentem.

Anna silniej jeszcze oplotła go ramieniem, zdecydowana nie puścić z objęć ukochanego, chyba ze sobą razem. Wiedziała zaś na pewno, iż jej na śmierć prawie pewną, narażać nie zechce.

— Raczej ja wsiądę za ciebie Rajmundzie — wtrącił Paweł wahająco. — Byłem zdrów przynajmniej, nie wstaję świeżo po chorobie, i...

Nie mógł dokończyć, gdyż Lily z krzykiem rozpaczy rzuciła mu się w ramiona, zapewniając uroczyście, wśród łez obfitych, iż takiej trwogi w żaden sposób przeżyć by nie mogła!

— Zostaniesz Pawle! — rzekł stryj spokojnie, ale tonem nieodwołalnym.

— Popatrz na twoją narzeczoną... najprzód o niej myśleć powinieneś.

— Nie jesteś-że i ty w tym samym wypadku? — spytał młodzieniec z gorżkim wyrzutem.

— Ja? — w oczach Rajmunda zabłysnął ponownie promień jasny, a na ustach uśmiech zaigrał dawno nie widziany. — Chcę właśnie tym czynem zasłużyć na szczęście w zupełności, i zdobyć sobie serce narzeczonej. Anno!... czy żądasz jeszcze abym został?

Wzrok młodej kobiety, błądził przez chwilę po falach spienionych, zatrzymując się wreszcie na owym dachu, gdzie trzy ludzkie istoty, nadaremnie wołały o ratunek... wreszcie zwolna, jakby przed jakąś wyższą potęgą ustępując, uwolniła ramię ukochanego z kurczowego uścisku, a usta jej blade i drżące wyszeptały:

— Idź! Bóg będzie przecież miłosiernym!

— Dzięki! — Rajmund porwał ją w ramiona, i w czoło ucałował, a potem zbliżył się szybko do Wilmuta i wieśniaków nad czółnem rozprawiających.

— Puścić statek na wodę! Natychmiast! — ostro zakomenderował. — Ja sam ster obejmuję!

Tłum cały przez chwilę skamieniał strwożony, następnie jak grad posypały się prośby i napomnienia, żeby proboszcz i ordynat, nie narażali się na tak wielkie niebezpieczeństwo. Wilmut atoli prędko zakończył te deklamacje, krzyknąwszy niecierpliwie:

— Spieszcie się, statek spuścić na wodę! Nie mamy czasu na czcze paplaniny! Jeżeliś gotów panie baronie... to służę!

Wieśniacy przekonawszy się, iż wszelka perswazja nie zatrzyma nieustraszonych, pochwycili statek w silne ramiona, i w oka mgnieniu kołysał się już na falach wzburzonych. Gdy ksiądz ujął wiosło, a Rajmund stanął przy sterze, w chwili ostatniej Rajner naprzód się wysunął:

— I ja pojadę! — rzekł stanowczo. — Mam dzięki Bogu ręce silne, nie od parady, a panom się to przyda w drodze. Jeden ksiądz proboszcz nie dał by sobie rady!

— Wsiadaj zatem! — odrzucił ksiądz krótko i węzłowato, robiąc mu miejsce obok siebie.

Rajmund uścisnął na pożegnanie dłoń bratanka, który dotąd prosił i zaklinał, żeby nie odjeżdżał.

— Żegnaj mi Pawle!... a gdyby... — tu Rajmund głos zniżył do szeptu — gdybym nie wrócił, niech moja Anna znajdzie w tobie przyjaciela... brata! Zostajesz przecie mężem jej siostry.

Młodzian odpowiedział li niemym ręki podanej uściskiem, i spojrzeniem łzą przyćmionem. Nie brakowało mu odwagi podzielić ze stryjem niebezpieczeństwo, nie mógł jednak znieść płaczu rzewnego swojej małej drogiej Lily. Nie pojmował, jak może Rajmund opuszczać narzeczoną, stawiać na kartę szczęście całe, tak mozolnie i po latach tylu zdobyte, aby ratować ludzi zupełnie mu nieznanych; nie rozumiał i cheroizmu młodej kobiety, która na coś podobnego pozwalała.

Jeszcze jeden rzut oka, jedno ręką skinienie w stronę gdzie stała Anna o drzewo oparta z bladością śmiertelną w twarzy, z rękami kurczowo splecionemi, z wzrokiem błędnym, wlepionym w postać ukochanego, i... woda plusnęła, Rajmund ster w dłoń ujął, za chwilę prąd ich pochwycił i unosił w dół gwałtownie.

Zrazu bacik lekki skręcił się w kółko w wirze niebezpiecznym, przez co mógł się łatwo wywrócić. Obydwaj wioślarze siły wytężyli, aby statek utrzymać w równowadze, ster zaś dzierżyły ręce Rajmunda, owe ręce na pozór tak białe i przeźroczyste, które jednak potrafiły okiełznać dziką naturę *Emira* i zmusić go do skoku szalonego przez parów śliski i olbrzymio szeroki. I tu go nie zawiodły. Po kilku minutach walki z prądem, statek prosto popłynął w kierunku młyna, wymijając zręcznie kloce i skał odłamy, mogące uszkodzić jego boki filigranowe.

Niebo, skoro deszcz ustał, coraz więcej się wyjaśniało. Góry, które od trzech dni były chmurami zasłonięte, wypływały na wierzch, niby wynurzając się z morza szarego, mgła zaś opadała coraz niżej w dolinę. Wody rozlane dymiły się parą białą a gęstą, która zasłoniła powoli całe obejście mielnika, i bacik wkrótce spowiła tak szczelnie, iż ani gołem okiem, ani nawet przez szkło, jadących dojrzeć nie można było.

Ze wsi za to lepsze wieści dochodziły. Woda wszędzie i nad nowym przekopem w oczach opadała. Fale zaczynały się uspokajać i nie rwały już tak wszystkiego z gwałtownością niepowstrzymaną. Obecnie było możebnem przynajmniej kierować statkiem jako tako, chociaż walka z powodzią była zawsze czynem szalonym, który groził najwyższem niebezpieczeństwem...

Tak przeszły dwie długie godziny i już noc zapadła. Cała dolina spoczywała pod gęstym, białym całunem, z pod którego słychać było jedynie głuchy fal łoskot. Może tam, po za tą zasłoną okiem nieprzebitą, walczą ze śmiercią zbawcy szlachetni razem z tymi, którym na ratunek pośpieszyli, a nikt im pomocy nie niesie; nawet ich wołanie rozpaczliwe tonie zapewne w wody szumie złowrogim!

Anna stała dotąd na tem samem miejscu, gdzie ją Rajmund ostatniem spojrzeniem pożegnał. Nic nie słyszała z owych słów, któremi starali się ją pocieszyć i uspokoić Paweł i jej siostra, nikogo nie zdawała się widzieć w około siebie. Blada, niema, osłupiała, wzrok wytężyła w jednym kierunku, którędy Rajmund popłynął, i starała się nadaremnie przebić okiem mgłę gęstą, zbadać fal tajemnicę, fal szumiących złowrogo, niby dzwon pogrzebowy. Może już pochłonęły jej szczęście całe! może go już więcej tu na ziemi nie zobaczy! Obok niej klęczał stary Eckfried i modlił się głośno; reszta stała w koło nieruchomo, bezczynnie, a z każdą minutą upływającą, gasł w zgromadzonych słaby promyczek nadziei, a zwątpienie straszliwe serca i umysły opanowywało.

Nagle drgnęła młoda kobieta i naprzód się podała. Sercem przeczuła, czego nikt jeszcze dojrzeć nie mógł. Tam w mgle coś się poruszało, dotąd ciemne i rysujące się niepewnemi konturami, ale jednak posuwało się coraz bliżej i było coraz widoczniejszem. Można było wkrótce rozróżnić statku zarysy, a nawet rozpoznać, ile osób mieścił w sobie. Udał się zatem czyn heroiczny, i życie, nie śmierć, wyłaniało się powoli z tego morza szarego.

Z wysiłkiem nadludzkim zbliżał się bacik do brzegu. Teraz płynął przeciw prądowi, który go pierwej uniósł lekko na grzbiecie spienionym, niby dzielny rumak arabski, pędzący z wichrem w zawody. W głębi przykucnęło dwoje ludzi przemarzniętych i zmartwiałych od zima i trwogi śmiertelnej. Był to młynarz ze swoją żoną. U nóg zaś Rajmunda, trzymającego ster obiema rękami, siedziało dziecię, obejmujące trwożnie jego kolana, z twarzyczką do tychże przyciśniętą, aby nie widzieć fal szumiących i piętrzących się po obu bokach czółna.

Na ten widok ożył tłum cały i rzucił się ku nadpływającym. Mężczyźni do wody powskakiwali bez wahania, a kobiety z brzegu wyciągały ramiona z pomocą. Witano okrzykami radości tak zbawców jak i uratowanych.

— No! złowiliśmy wszystkich troje! — odezwał się Rajner, który najpierwszy na brzeg wyskoczył. — Czas był wielki! Dom się już chwiał i tylkośmy ich mieli w czółnie, poszedł z wodą i śladu po nim nie zostało! Myślałem, iż nie damy sobie rady z tym prądem djabelskim! Ale nasz dziedzic i nasz proboszcz, to jakby ich Pan Bóg ukuł z żelaza, ani na chwilę nie odpoczęli!

Ksiądz pomagał wysiadać młynarzom, którzy prawie bezprzytomni, członków zesztywniałych nie mogli rozprostować. Rajmund wychodząc ze statku ostatni, niósł na rękach małego Tony. Już się teraz dziecię nie bało „Tego z Felseneck!“ Wszak on zdjął biedne chłopiątko z dachu chwiejącego się na wsze strony, on utulił i przewiózł szczęśliwie wśród mgły i fal groźnych. Z całą też ufnością dziecię objęło za szyję zbawcę swojego i nie myślało wcale uwalniać się z jego objęcia.

Rajmund powitał tylko czułem spojrzeniem i uśmiechem radośnym, spieszącą ku niemu narzeczonę, podchodząc zaś ku staremu Eckfriedowi, przemówił tonem uroczystym:

— Tu jest twój Tony! Oddaję ci dziecię całe i zdrowe... bierz wnuka z rąk moich!

Były to niemal te same słowa, które rzucił mu w twarz Eckfried, gdy go Rajmund schwytał na gorącym uczynku pod balkonem, z zuchwałością i z gorżkiem szyderstwem. Rysy starca dziwnie się kurczyły i wykrzywiały; wpatrywał się niemy, wzrokiem osłupiałym w ordynata, i bezwiednie, machinalnie, ramiona do dziecka wyciągnął. Dopiero gdy uczuł na swojem łonie jasną główkę wnuka ukochanego, a oczka szafirowe, nie całkiem jeszcze z łez oschłe, figlarnie się do dziadka uśmiechnęły, wtedy starcowi wróciło czucie i pojęcie. Przycisnął dziecię namiętnie do piersi i z krzykiem rozdzierającym, łzami zalany, upadł do nóg Rajmundowi, i całował stopy tego samego człowieka, którego tak długo i tak straszliwie nienawidził!

Teraz Anna nie pytając się o licznych świadków, rzuciła się na szyję ukochanemu, tak się do niego tuląc namiętnie, jakby ich tylko dwoje było na całym świecie. Zwolna zbliżył się do nich ksiądz Wilmut. Wzrok jego spoczął na tych dwojgu smutkiem zamglony, nie było w nim jednak ani cieniu dawnej nienawiści. Obecnie, gdy sam przyczynił się do ratunku zagrożonych, dumne usta księdza znalazły słowa dziękczynne, które przedtem tak mu trudno było wymówić. Głos proboszcza brzmiał tak donośnie, iż wszyscy zgromadzeni słyszeć go musieli.

— Panie baronie! Składam ci dzięki w imieniu wsi całej, przez ciebie uratowanej. Gdyby nie twoja ofiara wspaniałomyślna, Werdenfels jużby nie istniało, a mieszkańcy bez mienia i dachu nad głową, byliby zostali żebrakami!

— I ksiądz proboszcz śpieszyłeś tam z pomocą — odrzucił Rajmund tonem szczerego uznania — gdzie ja pod naciskiem konieczności, niebezpieczeństwo sam wywołałem. Ręka w rękę walczyliśmy z groźnym żywiołem przez dwie godziny, i cudem prawdziwym wyszliśmy cało, ratując życie trzem ludzkim istotom... Myślę, iż po tak ciężkiej prośbie, nie wrócimy więcej do dawnych uczuć nieprzyjaźnych.

Podał dłoń księdzu z uśmiechem łagodnym; gdy Jerzy nawzajem rękę wyciągnął, Anna krzyknęła z przestrachem:

— Cóż to, jesteś ranny?... Dłoń krwią ociekła!

— Drobnostka! — Wilmut rzekł wymijająco. — Wiosło mi trochę skórę zdarło.

Ciężka praca, ręce delikatne i do niej nie przyzwyczajone, zupełnie wierzchniej powłoki pozbawiła, a jednak męczennik dobrowolny nie wypuścił wiosła z rąk zranionych i wytrwał do końca mimo bolu straszliwego.

— Rajmundzie! — zawołał Paweł zdaleka, od wsi nadchodząc — woda opadła zupełnie i wraca w dawne koryto. Możemy zatem iść spać najspokojniej, wsi nic więcej nie grozi i pogoda na jutro najpewniejsza!

Ręką wskazał na góry, najpiękniej odsłonięte. Zaświecił i szczyt Dziewicy z lodu, swoim wiecznie białym zawojem i zdawał się patrzeć z uśmiechem na

zniszczenie, które wywołał. Niegdyś zesłał ów wicher gwałtowny, roznoszący zarzewie ręką zbrodniczą podłożone, od chaty do chaty, póki wieś całą w perzynę nie obrócił, dziś pieczary tajemnicze, pałace kryształowe zimnej i nieubłaganej Dziewicy, wysłały z wnętrza swojego potoki szumiące, ów żywioł jeszcze straszniejszy, bo niczem nie okiełznany, który wsi w dolinie położonej groził zagładą ostateczną. Poświęcenie niemające sobie równego odwróciło prąd niebezpieczny; ogrody, pola, łąki i winnice pana na Werdenfelsie były na lat kilka nie do użytku, powódź jednak spłukała i pochłonęła piętno zbrodni przed laty dokonanej, w jej nurtach utonęła na wieki pamięć pożaru straszliwego, a Rajmund wolno odetchnął, pozbywszy z duszy ciężaru.

We wsi zadzwoniono na Anioł Pański. Te same dzwony, które od świtu wzywały głosem ponurym, grobowym na ratunek, odezwały się teraz łagodnie, uroczyście, przypominając komu właściwie należą się dzięki stokrotne!

Wieśniacy ujrzeli ze zdziwieniem, jak ów wyklęty, ów czarownik z Felseneck, siejący w okół postrach i grozę zabobonną, jak on pierwszy zgiął kolano i w kornej postawie, z głową odkrytą i pochyloną, posłał w niebo cichą, z serca płynącą modlitwę. Za jego przykładem poszedł najprzód Paweł, Anna z siostrą, nakoniec tłum cały, korzący się w prochu przed Bogiem, padł na kolana, z łkaniem i westchnieniami dziękując za cud Bożego miłosierdzia. Jeden tylko stał pomiędzy ukorzonymi. Najprzód ku niebu podniósł wzrok łzawy i ręce krwią ociekłe, następnie wyciągnął dłonie zranione nad całą gromadką, wymawiając z cicha słowa błogosławieństwa. Tym jednym był ksiądz Jerzy.

XXV.

Lato po kolei na tron wstąpiło, z całym swoim kwiecistym orszakiem, i w różowym blasku słońca promienistego. W prześliczny, gorący dzień czerwcowy, powiewała wesoło chorągiew na zamku Werdenfels, w którym oczekiwano lada chwila Pana i Pani.

Ślub Rajmunda z Anną odbył się w Felseneck w kaplicy zamkowej jak najciszej, i małżonkowie tam mieli przepędzić w zupełnej samotności i oderwaniu od świata, pierwsze chwile poślubne. Dziś atoli spodziewano ich się z powrotem w Werdenfels a ludność cała gotowała się przyjąć państwa swoich uroczyście i wspaniale. Zdziałano istotnie rzeczy niemożliwe, pod względem bogactwa bram tryumfalnych, ilości wieńców, festonów i chorągwi, powiewających wszędzie na znak wesela ogólnego. Kto żyw, był od świtu na nogach, świątecznie ubrany, aby chroń Boże! nie chybić radośnej chwili powitania.

I sam zamek ustroił się godowo. Paweł przybył raniutko z Buchdorf. Lily również nadjechała z Rosenberg z panną Hofer, pod której opieką zostawała, póki Anna nie przesiedli się do Werdenfels.

Ku wielkiemu zdziwieniu Pawła, wyrósł nagle, niby z pod ziemi, adwokat Freising, utrzymując: „Iż i on chciał jeden z pierwszych, złożyć swoim wielce szanownym klientom, uszanowanie wraz z najserdeczniejszemi życzeniami“. — Tymczasem zaś rozmawiał z wielkiem ożywieniem, i jak się zdawało, z prawdziwą przyjemnością, z panną Hofer.

Właściwie tak się rzecz miała z tem powitaniem. Od owej w górach awantury, nasz prawnik nieoszacowany, znajdywał się znowu pod wpływem czaru słodkiego, który już pięciokrotnie serce jego kawalerskie opanowywał, natrafiając wiecznie, u strony drugiej, na uczucia: — „Szacunku głębokiego, dozgonnej przyjaźni... wdzięczności“ ale nie mogąc sobie zdobyć nawzajem króciutkiego, a tak dla biednego konkurenta pożądanego: „Kocham“!

Rosenberg odwidzał teraz nader często, dawniejsze zaś sprzeczki z panną Hofer, przemieniły się istnym cudem w najzupełniejszą zgodę we wszystkiem. Emma musiała wreszcie zauważyć, iż ona jest przedmiotem nadskakiwań i grzeczności adwokata. Czy Lily istonie nie omyliła się wtedy, utrzymając na chybił, trafił: że pannie Hofer nie jest Wujcio Freising obojętnym — czy owe akty, szczęśliwie uratowane, były prądem magnetycznym, łączącym te dwie, tak dotąd sprzeczne dusze, dość na tem, iż dama okazywała się coraz łaskawszą i przystępniejszą, co rozpłomieniało serce adwokata czułym ku niej afektem i najsłodszą nadzieją.

Znowu dnia pewnego zajaśniał frak, biała krawatka perfumy... i tem podobnie, a pan Freising po raz trzeci spiesząc do Rosenberg z bukietem w ręku, powiedział sobie: „Teraz, albo nigdy!“

W bramie niestety, bieg myśli roskosznych przerwał mu stary ogrodnik, oświadczając: — „Iż panna Hofer z panienką tylko co wyjechały do Werdenfels, na przyjęcie jaśnie państwa.“

Biedny konkurent stanął jakby piorunem rażony. Zrazu zaczynał już wierzyć w jakieś *fatum* złowrogie, skazujące go na bezżenność, następnie powziął zamiar heroiczny. Wracać do domu, aby bukiet zwiądł bezużytecznie, wydawało mu się najfatalniejszą przepowiednią, od czasu zaś, jak w jego losy wmięszała się tak dziwnie, iż to niemal na cud zakrawało, owa osławiona „Dziewica z lodu“, spuścił znacznie z tonu i wierzył w ducha pokorze w rozmaite prognostyki, i „Znaki na niebie i na ziemi, o których się nie śniło naszym filozofom“(*) — Postanowił zatem złamać los przekorny i kazał stangretowi pędzić co koń wyskoczy do Werdenfels, gdzie z miną niewiniątka udał przed Pawłem, jakoby chciał uczestniczyć w przyjmowaniu dostojnych zamku dziedziców.

Zamkowa terasa wystąpiła w całym blasku wieńców, festonów i klombów z roślin egzotycznych. W pobliżu zamku wyglądało jeszcze jako tako, rozścielały się wśród trawników szmaragdowych dywany kwiatowe, a bujne krzewy w okół zieleniały, tam niżej atoli, mimo trudów i kosztu niesłychanego, zniszczenie straszliwe nie dało się zatrzeć, i z każdego kąta wyzierało.

Co wieki stworzyły z wysiłkiem pracy, z kosztem niesłychanym, padło ofiarą żywiołu straszliwego w kilku zaledwie godzinach. Gdzieniegdzie ostały się drzewa pojedyncze, ale te sterczały z połamanemi u dołu konarami, ogołocone z liści, niby zastęp rozpierzchły inwalidów, srodze na wojnie poturbowanych.

Jeszcze smutniej w dolinie wyglądało. Fale naniosły z sobą na cały obszar dworski piasku i zupełnie nieurodzajnego namułu, a z pod tej grubej warstwy, zbitej doskonale, sterczały pnie, grube gałęzie i skał odłamy. Pola tak żyzne, przedtem tak intratne, przedstawiały na okół głuchą, piaszczystą puszczę! Na lata całe nie można się było spodziewać grosza dochodu z tych rozległych posiadłości.

Tem piękniej na oko wieś sama się przedstawiała, w wieńcu pól obsianych i zbożem falujących, z ogrodami i bujnemi sadami, w których ani jedno drzewko nie ubyło, przystrojona godowo mnóstwem (jak wyżej wspo-

(*) Hamlet.

mnieliśmy) bram, festonów i chorągwi powiewających.

Marszałek, odbył jeszcze przegląd służby jeneralny, która w całej gali i w komplecie na terasie się uszykowała, następnie zaś przystąpił do starego Arnolda, z zamku nadchodzącego.

Starzec, tyloletni *quasi* opiekun panicza, uważał to niżej swojej godności, o czem już wspominaliśmy, wdawać się i przyjaźnić ze służebną hołotą (jak się zwykł był wyrażać w swojej dumie arystokratycznej.) Marszałek też wyższość tę uwzględniał, uważając Arnolda za równego z nim w hierarchji społecznej!

— Dzięki Bogu! — marszałek zatarł ręce z miną wesołą — jesteśmy na przyjęcie Jaśnie państwa zupełnie gotowi. Nadjadą najdalej za godzinę, tylko że we wsi długo ich zatrzymają.

— Zapewne! — Arnold potwierdził z zadowoleniem. — Urządzenie wspaniałe. Gdyby zjawić się miał we wsi sam monarcha, nicby więcej nie mogli wymyśleć. Teraz to nie wiedzą jak dziękować swojemu panu, wysławiają dobroć jego pod niebiosa, a przedtem dopuszczali się względem niego największych niegodziwości, byli niemal do zbrodni gotowi.

— Nasze chłopstwo strasznie zuchwałe — mruknął marszałek — a łby twarde, jak te skały, które wieś otaczają! Zdaje mi się jednak, iż na przyszłość jaśnie pan da sobie z nimi radę.

— No! to się ma rozumieć! — Arnold głową pokiwał z nabożeństwem. — Stryjcio nasz wielce szanowny — starzec dotąd prawie nie nazywał inaczej ordynata — ma dziwny sposób patrzenia na ludzi. Ust nie utworzy, tylko spojrzy z góry na dół, a człowiek radby przed tym wzrokiem schować się w myszą dziurę, tak się czuje do ziemi przybity!

— Eh! i czynów przecie nie brakło! Małoż to jaśnie pan poświęcił, aby wieś uratować?! A ta wtenczas do młyna przejażdżka w spółce z księdzem proboszczem? Kto by się był odważył na coś podobnego? Nawet pan baron Paweł został na brzegu.

— Naturalnie! — Arnold nastroił minę wielce poważną. — Głowa rodziny ma wszędzie i zawsze pierwszeństwo! „My“ jako linja młodsza, trzymamy się w przyzwoitem oddaleniu, nawet... w razie niebezpieczeństwa...

— A jak tam rzeczy stoją z drugiem weseliskiem? — spytał marszałek, dnia uroczystością pobudzony do niezwykłej rozmowności. — Chodzą wieści, że dopiero za rok młodszy pan baron będzie ślubował.

— Nie inaczej... ślub odbędzie się w kwietniu, w roku przyszłym. Między nami mówiąc, „młodzi państwo“ muszą nabrać trochę więcej rozumu, powagi, doświadczenia... stryjcio szanowny doskonale to spenetrował. Przez ten czas każe „nam“ urządzić pałacyk w Buchdorf, co się zowie! Wszystko będzie odnowione, jak cacko! Panicz przyuczy się grać rolę gospodarza, a „mała“ hm! hm!... chciałem powiedzieć przyszła nasza pani baronowa, może jeszcze podróść trochę...

— Czy myślisz pan, iż rośnie się w jej wieku?...

— Jestem o tem najmocniej przekonany. Pan więc zostajesz nadal w Buchdorf?

Arnold wypatrzył się na mówiącego z takiem zdziwieniem, jakby nie mógł pojąć pytania tak niestosownego.

— No, spodziewam się! A gdzieżby młodzi państwo obeszli się bez starego?! Przysiągłem zresztą Jaśnie pani baronowej, na jej łożu śmiertelnem, iż..

— Słyszałem!... słyszałem!... Już mi to pan kilka razy opowiadałeś — wpadł mu w słowo marszałek. Nie było to jednak łatwem zadaniem, zamknąć usta starcowi, gdy raz wpadł na temat ulubiony, i teraz nie byłby zamilkł z pewnością, gdyby nie pojawienie się „młodszej linji“ Werdenfelsów, na terasie zamkowej.

Paweł prowadził pod ramię młodziutką narzeczoną, która ku wielkiej uciesze starego Arnolda, w sukni strojnej, z ogromnie długą powłoką, wydawała się wyższą i stroiła minki osoby statecznej i poważnej. Skończyli właśnie zamek oglądać, a teraz chcieli jeszcze rzucić okiem na służbę i terasę. Młody baron zbliżył się do marszałka.

— My przyjmiemy stryja i stryjankę — rzekł Paweł z uprzejmem głową skinieniem — u drzwiczek powozu, pan zaś przywitasz zamku dziedziców na schodach, na czele służby całej. I ty zostaniesz tutaj z panem marszałkiem Arnoldzie.

Marszałek zastosował się natychmiast do rozkazu, Arnold zaś ma się rozumieć, zrobił wręcz przeciwnie, i przyłączył się do „panicza“, który szedł dalej z narzeczoną.

— Musi mnie przecie panicz mieć pod ręką — odrzucił tonem decydującym — żebym pomógł wysadzić z powozu Jaśnie państwo... zresztą moje miejsce, jest zawsze i być musi przy boku mojego pana. Tak będzie daleko wspanialej powitanie wyglądało.

— Że też ty Arnoldzie musisz się sprzeczać o wszystko! — Lily wzruszyła niecierpliwie ramionami. — Zaniosłeś bukiet róż na stoliczek od roboty w budoarze mojej siostry?

— Zaniosłem... i postawiłem bukiet na biurku.

— Powiedziałam ci jednak wyraźnie: — „Na stoliczku przed sofką.“ — Czemuż umieściłeś bukiet gdzieindziej?

— Bo na biurku wydają się róże lepiej, o wiele lepiej!

— Ale ja chcę mieć bukiet na stoliczku przed sofką! — Lily tupnęła nóżką rezolutnie.

— Arnoldzie! — wmięszał się Paweł do rozmowy, w tonie ostrego nakazu — postawisz natychmiast kwiaty tam, gdzie życzy ich sobie moja narzeczona!

— Na biurku wcale inny efekt robią kwiaty — utrzymywał dalej Arnold z uporem niewruszonym. — Stoją pod samym portretem stryjcia szanownego, jaśnie pani weźmie to za najlepsze, za pewną delikatną aluzję i jaśnie wielmożny pan baron także... myślę iż wielmożna panienka przyzna, żem doskonale..

— Przez miłosierdzie Boże! — Lily uszy sobie oburącz zatkała. — Dobrze już, dobrze! Postaw sobie bukiet i pod biurko, mniejsza o to, tylko przestań terkotać tak nieznośnie!

Pociągnęła szybko Pawła dalej, Arnold zaś postawiwszy jak zwykle na swojem, nie ruszył się z miejsca. Odprowadził wzrokiem młodą parę, miłosiernie głową potrząsając:

— Że też oni nie mogą się odzwyczaić — mruknął drwiąco — od wydawania rozkazów, tak zupełnie zbytecznych! Niby to ja sam, po czterdziestu latach służby, nie wiem jak i kiedy co robić!

Ordynat jeden potrafił istotnie starcowi upartemu zaimponować, młodsza linja atoli daremnie się o to kusiła.

— Polciu! — przemówiła po chwili milczenia na-

rzeczona, na poły z dąsem, na poły ze śmiechem — sprzeczaliśmy się tu kiedyś, kto w Buchdorf dzierżyć będzie berło domowe, i o małośmy się na serjo o to nie pokłócili, nie chcąc ustąpić jedno drugiemu. Warto było łamać sobie nad tem głowę! Arnold berło wydrze nam z rąk i on jeden w domu zapanuje!

— Tak! tak! — potrząsł Paweł głową wielce zatrasowany — z temi sługami staremi, inwentarzowemi, których nam rodzice w spuściźnie zostawiają, ciężka sprawa! nie ma nich lekarstwa! I ty najdroższa, jak uważam, skłaniasz twoją śliczną główkę pod to jarzmo. Rajmund jeden mógł by go moresu i posłuszeństwa nauczyć, gdyby tak wziął starego na kawecan przynajmniej przez miesiąc. My oboje musimy to sobie raz na zawsze wyperswadować. 'Chodźmy w tamtą stronę. Możemy objąć jednym rzutem oka całą drogę. Feldberg zresztą objął komendę nad moździerzami. Skoro powóz zawróci w aleję zamkową, hukną strzały na wiwat.

— Eh! mamy jeszcze na to dość czasu. Zanim się pojawią, chciałabym pójść na zwiady, i zrobić ważne odkrycie. Wujcio Freising wygląda mi nader podejrzanie. We fraku... mina dziwnie uroczysta i coś okrągłego, wielkiego w powozie... Znamy się na tem! Bukiet! niezawodnie bukiet... et le reste!

— Nie pojmuję dobrze słów twoich i mnie jednak uderzył przyjazd niespodziewany Freisinga. Nie żyjemy z nim bynajmniej w stosunkach tak bliskich i poufałych, aby go to upoważniało do witania...

— Ale jemu idzie zupełnie o co innego! On radby wejść z jakąś jedną, jedyną istotą w stosunek serdeczny i jak najbliższy, a dotąd zbierał tylko biedaczysko żniwo obfite szacunku, poważania i tym podobnych zapewnień straszliwych dla konkurenta! Moje oko mnię nigdy nie zawodzi! W jednem miejscu papier był trochę naddarty i dostrzegłam goździki w różnych barwach i odmianach. Są to zaś kwiaty ulubione panny Emmy. Muszę dowiedzieć się koniecznie, jak zostanie rozstrzygniętą ta ważna sprawa. Jeżeliby znowu miało źle wypaść... wtedy Polciu kochany Święty Boże nie pomoże! wtedy nawracam się do wujcia Freisinga i zostaję panią mecenasową! Sześć koszów, to przecież za wiele złego na jednego! tego nikt nie jest w stanie wytrzymać!

Paweł, ma się rozumieć, protestował najenergiczniej przeciw tak humanitarnym zamiarom narzeczonej, i w ogóle był zdania, iż wypada im zostać na terasie, aby mogli widzieć powóz nadjeżdżający. Lily jednak chciała koniecznie na swojem postawić i postawiła. Zobaczywszy iż Freising z panną Hofer zniknęli w jednym z bocznych zamkowych pawilonów, pośpieszyła w ślad za nimi.

Pawilon, zbudowany umyślnie w stronie, skąd jedynie widać było góry otaczające Felseneck, miał okna bardzo wysoko, na suterenach, tak, że z dołu nic dojrzeć nie można było, drzwi zaś, które przedtem stały otworem, przymknięto starannie na wszelki wypadek. Mała ciekawska zaczęła więc od dokładnego obejrzenia terenu i obrachowania szans jej przysługujących, w czem przypadek usłużył jej znakomicie.

Pawilon, jak i zamek cały, jaśniał wieńcami, festonami i szczyt miał chorągwią ozdobiony. Dotąd stał w kącie pod jednem z okien drabina zapomniana, po której zapewne dostał ,się ten na dach, komu zatknięcie chorągwi powierzono. Lily była tem odkryciem uszczęśliwioną i natychmiast zapragnęła z drabiny korzystać. Długą powłokę od sukni zwinąwszy w trąbkę, za pas wetknęła, i w okamgnieniu już była przy oknie na szczeblach drabiny, zaglądając do środka, zupełnie iak. jak niegdyś Arnold ją podpatrzył z Pawłem waltanie w Rosenberg.

— Są tam w rzeczy samej — raportowała głosem przyciszonym. — Siedzą we trójkę na sofie, mianowicie: Emma, bukiet i wujcio Freising. Szkoda wielka, że przez okna podwójne nic słyszeć nie mogę. Wtedy, gdy się Anulce oświadczał, jednego słowa nie straciłam, ale za to mało co widziałam przez dziurkę od klucza... no! i teraźniejsza pozycja jest co prawda nie o wiele wygodniejszą!

— Ależ to proste szpiegostwo! — wtrącił Pawł niechętnie. — Jeżeliby cię kto ze służby zobaczył na drabinie pod oknem, coby sobie pomyślał. Zleź Lily, błagam cię.

— Cicho! — energicznie choć głosem stłumionym odrzuciła. — Zamiast prawić morały, jak nieznośny kuzyn Jerzy, trzymaj lepiej drabinę. Służba przed zamkiem zebrana w komplecie, pod komendą marszałka, a ze środka nikt mnie nie zauważy, bo bluszcz i dzikie wino jak gęstą firanką okno zasłoniło. Słyszeć nic nie słyszę, ale za to widzę doskonale całą pantominę. Wujcio Freising wygląda dotąd jak wcielona Elegja, opowiada zapewne o swoich pięciu koszach... żeby tylko szóstego nie dostał. Emma stroi minę nader poważną, jest cała szacunkiem przejęta!... Dzięki Bogu, uśmiechać się zaczyna.. teraz nastąpi punkt kulminacyjny... padnie strzał decydujący...

— Lily! na wszystko cię zaklinam, zejdź z drabiny. Gdyby naś kto złapał na gorącym uczynku? To się nie godzi doprawdy.

— Eh! — ręką machnęła niecierpliwie. — Nie nudź mnie, nie przeszkadzaj i pilnuj, ot, żebym nie spadła przypadkiem... No! pada strzał... bukiet wychodzi na tapet... wujcio Freising lubi pasjami rozmowę kwiatów. Do Anny palnął: „Róże... róż królowej.“ Mnie spotkał kompliment: „Wiośnie... pierwsze jej kwiaty.“ Teraz prawi zapewne: „Pięknemu goździkowi“... ba, ale to się nie bardzo stosuje... przecież Emma nie mężczyzna.. ha! niech się ratuje jak może!

Freising musiał w istocie powiedzieć coś podobnego, gdyż panna Hofer spłonęła szkarłatem i skromnie oczka w dół spuściła. To bodźca dodało mecenasowi, prawił więc z ferworem coraz wzrastającym:

— Nigdy o tej chwili nie zapomnę, kiedym siedział na śniegu sam jeden, od wszystkich opuszczony i do tego z nogą wywichniętą. Pani ratowałaś wspaniałomyśnie moje akta...

— Oh! nie ma o czem mówić — wtrąciła Emma z minką niewiniątka.

— O pani! warto i bardzo warto! Dokumenta z roku tysiąc sześćset ośmdziesiątego.

— Werdenfels, contra Werdenfels.

— Tak jest! Sprawa najciekawsza. Bez pani po-
dnictwa, papiery wartości nieocenionej, byłyby
ofiarą mocy wszechwładnej a złośliwej.
z lodu!“

— Jakto?! Pan zatem wierzysz w
skie? — Emma zdziwiona wypatrzyła

Freising spojrzał przez okno z pe
W dali jaśniał w słońca promienia
potworu piekielnego, jakby go nap
nił solenny, przyciśnięty groźnem

umysł wolny od wszelkich zabobonów i przesądów, zachwiał się w chwili niebezpieczeństwa, i gotów był uwierzyć w „Dziewicę z lodu.“ Nie chciał się jednak wprost przyznać do słabości tak niegodnej filozofa i człowieka pozytywnego, wykręcił się więc zręcznym wybiegiem:

— Wierzę, iż „Dziewica z lodu“ wskazała mi wtedy drogę do szczęścia prawdziwego, której dotąd nie spostrzegłem. Emmo najukochańsza! Od ciebie zależy jedynie, abym tej wiary nie stracił.

Teraz szło już wszystko jak z płatka. Osoby atoli głównie w tej sprawie interesowane, ani się domyślały, że ich z dwóch stron podpatrują. W oknie na prawo Lily o mało szyby nie wytłukła, tak do niej ciekawie twarz przyciskała, przez okno zaś na lewo zaglądał szczyt majestatyczny „Dziewicy z lodu“, jakby brał udział w zaręczynach, do których dopomógł niejako.

Panna Emma wpatrywała się ciągle jeszcze płonąc rumieńcem w bukiet goździków, podczas gdy mecenas ciął od ucha deklarację, którą już umiał wybornie na pamięć. W kilka minut później trzymał w objęciu... narzeczonę. Odetchnął pełną piersią, jak tonący, gdy ląd stały uczuje pod stopami. I on został odczarowany, i on nareszcie zamiast owej Trójcy, która go przez lat tyle prześladowała, zamiast słów znienawidzonych: „szacunku, przyjaźni i wdzięczności dozgonnej“ usłyszał dawno upragnione, króciutkie, a mimo to wielkiej doniosłości słówko „Tak“, wymówione nieśmiało i zdrżeniem głosu, do uroczystości tej chwili zastosowanem.

Nagle moździerze zahuczały. Musiał się we wsi powóz pokazać, bo zaraz po salwie moździerzowej głośne hura się odezwało.

Para narzeczonych rozskoczyła się przerażona. „Na codzień“ panna Emma nie bawiła się zupełnie w istotę nerwową i eteryczną, przy tych jednak tak hałaśliwych oznakach czci i radości z przybycia państwa do siedziby ich praojców, przez lud wiejski urządzonych, pozwoliła sobie po raz pierwszy w życiu lekkich mdłości. Przymknęła oczy, zachwiała się i byłaby może runęła na posadzkę, gdyby dość wcześnie nie ujął w ramiona słaniającą się pan Freising.

— Uspokój się Emmo najdroższa! — przemówił tonem najczulszym. — Wszak ja jestem przy tobie.

I Emma na zaklęcie tak uroczyste, raczyła się uspokoić i oczy ze słodkim uśmiechem otworzyła.

Jednocześnie ukazał się Arnold zdyszany na zakręcie terasy, aby donieść: „Iż powóz z jasnem państwem, tuj, tuj stanie przed zamkiem.“ Nie mógł pojąć, gdzie mu się tak raptem jego młodzi państwo zapodzieli.

— Paniczu! Stryjcio nadjeżdża. Rany Boskie! Paniczu! Ta odezwij się panicz przecie!

Stanął nagle jak wryty i nie mogąc na razie słowa [illegible], w milczeniu ramiona ku niebu wyciągnął [illegible]liwie, jakby brał je na świadectwo, co tu na [illegible]eją [illegible] za herezje. Panna Lily, w sukni jedwa[illegible] łoką, oszytą koronkami, stała na dra[illegible]oko zaglądając, a panicz z całą uwagą [illegible]nę i słuchał z rezygnacją paplania [illegible]onej Tak zaś byli tem zajęci, iż [illegible] słyszeli.

[illegible]a, Lily drgnęła i jednym sko[illegible] objęcie. Stary sługa musiał [illegible] zgorszeniem, jak panicz [illegible]um, panienkę wycałował [illegible] na rękach. Wreszcie [illegible] uciekać ze zwinnością i szybkością sarneczki. Tak biegnąc na wyścigi, dopadli bez tchu do bramy wjazdowej. Młoda dama miała zaledwie czas poprawić cokolwiek włosy nad czołem w nieładzie rozrzucone i powłokę ułożyć z powagą przyzwoitą, gdy powóz stanął przed bramą.

— I tych dwoje dziaciaków chce się gwałtem pobrać! — pokiwał stary głową miłosiernie, krocząc zwolna za biegnącymi. — A pan marszałek pyta jeszcze, czy ja w Buchdorf zostaję? Przecież w każdym domu, musi być ktoś rozsądniejszy, ja zaś w Buchdorf będę jeden, jedyny, tym ktosiem!

Nie miał czasu stary sługus odsapnąć z oburzenia nad takiem pominięciem wszelkiej etykiety, zdeptaniem wszelkiej powagi ze strony Linji młodszej, gdy druga para przeleciała mu pędem po przed sam nos, pod rączkę się prowadząc, czule do siebie przytuleni, mianowicie: Freising z panną Emmą. I oni biegli co tchu, aby nie ominęła ich chwila uroczysta, powitania obojga małżonków, przed bramą zamkową. Twarz uśmiechnięta i rozpromieniona mecenasa, zwykle tak uroczyście nijaka, ten pośpiech nie licujący bynajmniej z jego latami i powagą, do reszty zbiły z tropu Arnolda.

— Rany Chrystusowe! — westchnął ciężko, żegnając się lewą ręką od uroków. — Dziś już chyba całe Werdenfels wywróciło się do góry nogami!

Zdawało się istotnie, iż z wielkiej radości i zapału, wieśniacy od zmysłów odchodzą. Jak wpierw w nienawiści, tak teraz w okazywaniu wdzięczności i przywiązania, granic nie znali. Nie dosyć, iż przez wieś prowadzili Jaśnie państwa w tryumfie, przesadzając się w mowach powitalnych i grzmiących Hurra! — część znaczna, dzieci szczególniej, biegła za powozem do bramy zamkowej. Ów syn Rajnera, uwięziony wówczas wraz z innymi w oranżerji, tak krzyczał głośno Wiwat! Niech żyją! że aż zachrypł zupełnie.

Gdy wreszcie powóz się zatrzymał, Arnold tylko i stary marszałek na czele służby, pilnujący ściśle programu, decorum wszelkie zachowali. Mecenas z narzeczoną, rzucali się na prawo i lewo, jakby ich gryzła tarantula, w czambuł wszystkich za ręce ściskając; co się zaś tyczy młodszej pary narzeczonych, ci jeszcze mniej myśleli o powadze i etykiecie.

Lily najprzód siostrę mało nie udusiła, a następnie tak samo bez ceremonji, rzuciła się na szyję szwagrowi, nie bojąc się już, żeby jej główkę ukręcił. Paweł natomiast spoważniał nagle, gdy ustami dotknął się ręki stryjanki.

Na chwilę zniknęła mu z myśli ładniutka Lily, zaćmiona owem świetnem zjawiskiem na statku parowym, owemi rysami klasycznie pięknemi, które go tak oczarowały, oblane światłem drżącem i tajemniczem księżyca w pełni. Wtedy i twarz ta była blada, smętna, jak zimnym jest blask nocy, choćby najjaśniejszej; dziś sploty włosów mieniły się złotem w blasku słonecznym, a cudowne, ciemne źrenice, szczęściem nadziemskiem promieniały.

Serce młodzieńca ścisnęło się zrazu dawnym bolem i żalem, prędko jednak opanował siłą woli męzkiej słabość chwilową; widział przecie, iż te ciemne oczy tylko Rajmunda śledzą, tylko w nim żyją! Udało się wreszcie ordynatowi uwolnić od ciżby natrętnej; podał ramię Annie, i powitawszy uprzejmie całą służbę uśmiechem i łaskawem głowy skinieniem, wprowadził żonę do zamku praojców.

Paweł z Lily do nich się przyłączyli. Ta ostatnia

owu dowód złożyła, jak mało jest przejęta ważnością chwili, bo zaraz na progu siostrze szepnęła na ucho:

— Wyobraź sobie Anulko, wreszcie Freising przyjdzie raz przecie do żony! Żeni się z Emmą.... a gdy otrzymał wreszcie z jej ust, dawno upragnione, krótkie „Tak“, z wszystkich moździerzów na wiwat wypalono!

W kilka godzin później, gdy uspokoił się cokolwiek szał radośny, i ustały wreszcie wszelkie powitania, Anna potrafiła wymknąć się niespostrzeżenie na terasę zamkową, i teraz oparta o balustradę, samotna, wpatrywała się w góry, skąpane w purpurze słońca zachodzącego, marząc o szczęściu, które tam, w ponurem Felseneck, serce jej opromieniło, do którego doszła po tylu walkach bolesnych, po drodze tak ciernistej!

Wspominaliśmy, iż ślub im dawał proboszcz z Hochdorf, w kaplicy zamkowej w Felseneck. Ksiądz Wilmut był wtedy właśnie w stolicy, dokąd go ważne sprawy dyecezjalne powołały. Dziś po raz pierwszy ujrzał baronowę Werdenfels, gdy na czele gromady, witał na granicy małżonków, kilkoma słowami, zastosowanemi do dnia uroczystości. Mowy dłuższe zostawił Rajnerowi, wójtowi, organiście, którzy też prześcigli sami siebie tym razem, w zwrotach i porównaniach retorycznych. On przemówił krótko, ale serdecznie, poczem usunął się natychmiast na probostwo.

Teraz dopiero pojawił się na stopniach terasy, dążąc szybkim krokiem do Anny, która powitała go okrzykiem zdziwienia.

— Przyszedłeś Jerzy?.... Nie spodziewałam się wcale widzieć cię dziś jeszcze.

— Przyszedłem pożegnać się..... pojutrze do dnia odjeżdżam.

— Tak nagle? Miałeś dopiero w jesieni objąć w M. parafię.

— To się zmieniło. W M. proboszcz umarł, parafia osierocona potrzebuje gwałtownie duszpasterza, mój zaś następca w Werdenfels, gotów przybyć każdej chwili. Jutro, podczas kazania, pożegnam się z moimi parafianami, a chociaż nie wątpię, iż i ty będziesz na mszy w kościele, nie znalazł bym już może sposobności, pożegnać się... osobno.... dla tego dziś przychodzę.

Anny oczy wpatrywały się w twarz księdza badawczo; odezwała się wreszcie po chwili milczenia:

— Ten pospiech jest twojem dziełem Jerzy.... Odchodzisz dla tego, że Rajmund przybył.

Jerzy nie zaprzeczył, młoda kobieta mówiła więc dalej z wymówką:

— Myślałam, iż o dawnej nienawiści, mowy więcej nie będzie między wami, że owa przejażdżka, w której obydwaj nieśliście życie w ofierze, połączy was na zawsze!

— Przestaliśmy też odtąd być sobie nawzajem nieprzyjaciołmi, przeciwnikami będziemy jednak wiecznie, bo tu idzie o przekonania odmienne, których jeden dla drugiego nie poświęci, których żaden [illegible] nas się nie wyrzeknie. Powinnaś mi być wdzięczną, [illegible] ten krok stanowczy. Gdybym został, walka [illegible] nowo by się rozpoczęła, musiała by wybuchnąć, [illegible] mi zgoda jest czystem niepodobieństwem.

— I ty ustępujesz z [illegible] przeciwnika pełnie do siebie niepodobne!

— Ustępuję ze stanowiska, na którem nie mógłbym jak dawniej stać niewzruszenie, działać z pożytkiem ogółu. Wiem jak jest, i nie dam się oszukać namiętnemi prośbami, abym został w Werdenfels, i zapewnieniami, jak im będzie żal za mną. Wobec całej parafii, Rajner cisnął mi w oczy, że wieś uporem moim zgubiłem, a wszyscy to potwierdzili. Coś podobnego niczem zatrzeć się nie da, nic tej chwili nie zmaże, tak w mojej, jak i w ich pamięci! Przestali wierzyć we mnie bezwarunkowo, a taka wiara jest konieczną dla duszpasterza, jeżeli ma wpływ wywierać na swoich parafian.

— Tyś więc sam żądał do M. przeniesienia? Domyśliłam się tego!... A jednak wiem na pewno, iż żal za tobą jest ogólny i szczery.

— Czy sądzisz, iż mi łatwo będzie opuścić Werdenfels, gdzie przez lat dwadzieścia pracowałem, gdzie wychowałem już całe jedno pokolenie, a drugie, podrastające, prowadzić zacząłem?! Tak atoli być musi! Nie znoszę w niczem połowiczności, a z całą energją i siłą niezłamaną, mogę tylko na nowem miejscu, i w innych warunkach, rozpocząć działanie.

Anna odczuła prawdę w tych słowach zawartą, i nie śmiała więcej protestować.

— Nie zechcesz widzieć się z Rajmundem? — spytała. — Jest w zamku. Może.....

— I na cóż to?! Powitałem go dziś, wobec wsi całej, spodziewam się, iż on mnie tak samo jutro pożegna oficjalnie. Takie pożegnanie, nie tylko dla mnie, ale i dla niego będzie z pożytkiem; prywatnie, sam na sam, nie mamy potrzeby mówić i spotykać się. Z tobą tylko Anno pragnąłem się pożegnać, skoro drogi nasze rozchodzą się w dwóch przeciwnych kierunkach....

— Przecież nie na zawsze! — młoda kobieta szepnęła wahająco. — M. wprawdzie od nas bardzo daleko....

— A choćby leżało o staję tylko, nasze stosunki muszą być zerwane! Moja opieka nad Lily jest odtąd czczą formalnością, skoro jej małżeństwo jest faktem dokonanym. W roku przyszłym i ona, jak ty obecnie, będzie nosiła nazwisko Werdenfelsów..... ja zaś dzisiaj nie przyszedłem do małżonki pana tego zamku, chciałem zobaczyć Annę Wilmut, którą dzieckiem, sierotą, wziąłem do domu... której lat tyle byłem przewodnikiem, opiekunem, bratem.... Anno, siostro moja.... żegnaj mi.... na zawsze!

Z okiem łzą zaćmionem, podała mu obie dłonie. Księdza czarne źrenice suchemi pozostały; wpatrzył się jednak w młodą kobietę wzrokiem smętnym, przenikliwym, i patrzał tak na nią długo, długo, jakby chciał wyryć w duszy jej obraz czarowny na resztę życia. Puścił wreszcie jej dłonie z uścisku namiętnego, i odszedł krokiem pewnym, miarowym, nie oglądając się po za siebie.

Anna wzrokiem go odprowadzała. Odczuła, iż to jedno, o czem między nimi mowy być nie mogło, zwyciężyć potrafił, zrozumiała jednak, ile go to zwycięstwo kosztowało!

Usłyszała krok lekki po za sobą. Gdy szybko głowę odwróciła, stał przed nią Rajmund.

— Długoś na mnie czekała najdroższa! — objął ją wpół z czułością niewypowiedzianą. — Nie mogłem pozbyć się Eckfrieda, który umyślnie z gór przyszedł z małym Tony, aby nas w Werdenfels przyjmować.

— Widziałam malca na czele zgrai dzieciaków — uśmiechnęła się Anna — wręczył mi nawet bukiet

olbrzymi z polnych kwiatów. Zapomniał wprawdzie, i urwał w połowie kompliment wierszem, który chciano gwałtem wcisnąć w jego małą główkę, ratował się jednak, opowiadając mi szczegółowo, z wielką dumą, że dziadzio kupił już krówkę łaciatą na jarmarku, konika i biedę, ale nie taką na dwóch kołach. Nim dziś przyjechali i napowrót odjadą do domu.

— Same dobre nowiny! Szczęśliwą myśl mi poddałaś, aby spłacić długi ciążące na Mattenhofie, i zapisać grunt na chłopca, który mu zresztą należał się z prawa, gdyby ojciec nicpoń, nie był go przehulał.

— Szło o złamanie uporu starca, który dla siebie nie byłby nic przyjął. Już to Eckfried wygląda jakby odrodzony, od chwili owej, kiedyś mu wnuka żywego złożył na łonie. Nawet wcale przeciw temu nie protestował, gdyś oświadczył, że chcesz się zająć losem sierotki.

— Ha! może jeszcze się doczeka kołysać prawnuki w Mattenhof! Istotnie, w tych kilku tygodniach zmienił się nie do poznania! Odżył, odmłodniał! Ciężko bo też to było, dla tyloletniego gospodarza gruntowego, człowieka zamożnego i niezawisłego, zostać prostym najemnikiem, i obcym się wysługiwać. Pracując znowu dla wnuka, więc tak, jak na swojem, pożyje jeszcze lat kilkanaście na pewno!

— Jerzy był u mnie z pożegnaniem — szepnęła Anna po chwili milczenia. — Nie zostanie do jesieni.... pojutrze na zawsze opuszcza Werdenfels.

— Eckfried mi już o tem wspominał. Wiedziałem, iż usunie się ztąd, jak będzie mógł najprędzej. Zrozumiał, iż dla nas dwóch za ciasno byłoby w Werdenfels, ja zaś nie pozwolę zepchnąć się z raz zajętego stanowiska.

— Osądzasz źle Jerzego. Nie ucieka przed tobą. Jego wypędza owa chwila złowroga, kiedy wsi całej zagłada groziła. Prawdziwie po męzku winę swoją czynem okupił, zarzut atoli pozostał, iż o mało uporem wsi nie zgubił, i może i słusznie utrzymuje, iż wiara raz zachwiana ustalić się nie da na nowo, i w takim wypadku, [illegible] innemu zostawić pole wolne do działania.

— Stokroć lepiej dla niego, iż w sam czas, w pokoju od nas odchodzi! — Rajmund rzekł tonem stanowczym. — Dwóch panów nie może stać na czele gromady, i mimo wszystkiego, co zaszło między nami, bylibyśmy niedługo zaczęli walczyć o pierwszeństwo. I tak, skoro minie szał chwilowy, będę miał nie lada zadanie z twardemi łbami i z uporem zaciętym moich wieśniaków. Między nami leży zapora, lat czternaście zupełnego odwyknienia stoi na zawadzie, brak wszelkich stosunków między wsią a zamkiem, przez który to przeciąg czasu Wilmut jedynie rządził nimi, i panował we wsi wszechwładnie. Nauczyli się jednak ufać mi w chwili najgroźniejszego niebezpieczeństwa; i ja wtedy nawzajem powziąłem o nich lepsze wyobrażenie. Na tym fundamencie da się, o ile mnie się zdaje, utrzymać zgodę i harmonję na zawsze między nami.

Anna ręką wskazała na pyszne niegdyś ogrody, dziś w smutną ruinę zamienione:

— Czyż nie patrzą co dzień, ile dla nich poświęciłeś? Myślę, iż to wystarczy, aby ich utrzymać nadal w karności i posłuszeństwie, aby wiecznie byli ci wdzięczni za tak wielką ofiarę. Żal mi przecie naszych cudnych ogrodów!.... a tam w dolinie co się dzieje!.... można śmiało powiedzieć, iż pół majątku oddałeś.

Rajmund spojrzał również w kierunku wskazanym, oko mu jednak szczęściem promieniało, mimo iż patrzał na tak straszliwe zniszczenie.

— Zapewne, trzeba będzie czasu długiego i wiele pracy, aby znowu wszystko do dawnego ładu przyprowadzić. Nie sądź jednak ukochana moja, że mi braknie do tego odwagi, chociaż będę zmuszony niejako każdą piędź ziemi na nowo wywalczać i z pod gruzów wydobywać! To może szkoła najlepsza, lekarstwo jedyne dla niepoprawnego marzyciela, walka niemal o byt, zajęcie codzienne mozolne a pożyteczne. Nieprawdaż Anno?

Przycisnął ją namiętnie do piersi, a ona mu jedynie wzrokiem czułym odpowiedziała.

— Rajmundzie! powiedz sam, czyż nie lepiej żyć z ludźmi, choćby nawet przyszło walczyć z ich błędami i przywarami, niż pędzić lata bezczynnie w zupełnem od świata oderwaniu?!

— Nie obgaduj mojego samotnego Felseneck! — pogroził jej żartobliwie, całując przytem z miłością. — Tam zostałaś moją na wieki, tam prześniliśmy oboje pierwsze dni szczęścia nadziemskiego! Słusznie jednak mówisz sam. Nie godzi się oddawać zbyt słodkim marzeniom, nawet gdy się jest u szczytu pragnień, u szczytu ziemskiej pomyślności. Dla tego wyrwałem się, gwałt niejako sercu zadając, z mojego Felseneck ukochanego z mojego raju, i wraz z tobą wracam do świata... chcę zacząć żyć, walczyć i pracować.

Wzrok zamglony utopił w „Dziewicy z lodu“, która zdawała się patrzeć na nich z góry w całym swoim niezrównanym majestacie. Dziś i jej szczyt wiecznym śniegiem i lodem pokryty, zdawał się życia i ciepła nabierać, kąpiąc się w słońca promieniach, cały różowy od blasku purpurowego.

Cisza uroczysta na okó zapanowała. Rzeka toczyła fale złocisto-szmaragowe, spokojnie, jak gdyby te fale nigdy nie przynosiły z sobą nędzy i zagłady, jakby nigdy zdradzać nie potrafiły. Wiele one zniszczyły, wiele złego stały się przyczyną, one jednak spłukały z czoła synowi piętno hańby, które ręka ojca własnego wycisnęła, one zerwały pęta, w których dusza jego piękna, wzniosła, usychała z bolu i tęsknoty. Zaklęty został odczarowanym! Jak w ów wieczór wiosenny po burzy i powodzi, niebo się wyjaśniło i góry zaczynały się wychylać jedna po drugiej z mgły na dół opadającej, tak i tych dwoje, po drodze ciernistej, po srogich burzach i niepokojach patrzyło śmiało w przyszłość, bo i nad ich głowami świeciło jasno słońce zgody i wzajemnej miłości.

KONIEC.

Od wydawnictwa.

Z dzisiejszym, t. j. 53 numrem a 157 zeszytem, kończy się rocznik III. „ŚWIATA POWIEŚCIOWEGO.“ W roczniku przyszłym rozpoczniemy drk kilku nowych oryginalnych i tłumaczonych powieści. Rwnież pomieścimy część drugą rozpoczętej w tym rocznikupowieści: „Niebezpieczna.“

Kartę tytułową i spis rzeczy, dołączymy do jednego z przyszłych numerów.

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.